

## Ze wspomnień o Józefie Czechowiczu

STANISŁAW CZERNIK

Poważne obiekty.

Obawiałbym się również owej granicy: Forma — treść. Natomiast uważam za świetne i mogące dać nowe światło postawienie osoby pisarza w świetle jego miejsca społecznego (biografii) oraz synteza, utworzona na podstawie obserwacji „masowych”. Jak wynika z planu, podchodzi Pan do zagadnienia bez koncepcji z góry rozwiniętych, oczekując ich krystalizacji z samego tematu. Jest to, jak na mój gust, najbardziej właściwy sposób odkrywania nieznanych fal.

Kontakt nasz o tyle jest ważny dla mnie poza faktem, iż może się Panu w czymś przydać, że zgłębiamy bezdenną beznamiętnością książki Galińskiego wziętem się rok temu do opracowania antologii poetyckiej lat ostatnich. Praca ta leży na półce niedokończona, a czyniana dwa razy. Raz jako swojego rodzaju pamiętnik przeżyte lektury, przeciętany cytowaniem całych poematów, drugi raz — jako zwykła, przywołana antologia. Myślę, że gdyby były możliwości realizacji, może wskreśliłbym rękopis i uzupełnił, aby służył jako ilustracja do Pańskiej książki, bo, co mi się zdaje, że zgodziłbyśmy się w gustach. Uważam bowiem, że wśród „nieodkrytych” poetów bywają wiersze bardzo piękne, nie gorsze od wierszy naszych „znanych i cenionych”. Antologię moją tak właśnie zakroliłem, że Galińskiemu np. wyznaczyłem miejsce na 4 wiersze, a Iwaszkiewiczowi — na jeden, Bielskiemu na trzy — Czuchnowskiemu na cztery itd.

W wonnych snujących się dymach biegnie Konrad gronami wina potrząsa tyrs wyciąga przed siebie niesie go mądrość ostatnia radość stara i mądra winem przez wino na winie po niebie

Kiedyś nazwałem Bielskiego kryjakiem Trudno i dziś zmienić zdanie. W czasach międzywojennych ukrywał swoje wiersze, a chociaż ostatnio, w 1954 r. ogłosił poemat 38 równoleżnik, nadal pozostaje poetą tak samo nieznanym, jak w 1934 roku, kiedy to w ten sposób oceniałem jego utwory (Kamena r. II, nr 1): „W poznanych przygodnie wierszach mogłem stwierdzić rodzaj mrocznego i złotego bizantyżmu, to jakiś alchemiczny barwistan, to balladowy fakturyzm”. Przypominam to nie bez powodu. I w wierszach Czechowicza, zwłaszcza w tomie nie więcej spotykamy atmosferę jakiegoś mistycznego porfiru-genetyzmu. Mówiąc o kryjactwie Bielskiego, przytoczę charakterystyczne zdanie Czechowicza. Chodziło mi o materiały do eseju o poetach lubelskich, a od Bielskiego niczego nie mogłem wyciągnąć. Czechowicz tak go usprawiedliwił: „Co do Bielskiego, jest to jeden z najbliższych moich przyjaciół. Na kilkadziesiąt listów, jakie doń wysłałem w ciągu szeregu lat przy różnych okazjach (1921—1934), odpowiedział tylko dwa razy. Niech się więc Pan nie przejmuję jego milczeniem”.

WYMIANA zdań na temat antologii trwała w dalszym ciągu. Niestety nie zachowały się niektóre listy. W czasie wojny 1939 r. znaczna część korespondencji została zniszczona. Pozostał jednak list z 18 marca 1934 roku. Czechowicz opuścił Lublin, przeniósł się do Warszawy i uważał się za „wodza” awangardy. Zdawało mu się, oczywiście, że nakazywał, przewodził, poganiał, tresował, podporządkowywał. Po prostu w młodzieńczy sposób wyżywał się sukcesem. Stąd odpowiedni ton, gdy pisze w wymienionym liście:

Wleńczękom nakażę, aby Panu przysłał książki. Mimowolnie przez agresywność charakteru, osiedlenie się w Warszawie, zacząłem przewodzić awangardzie. O wieczorze pt. „Najazd awangard y”, zorganizowanym przeze mnie przy technicznej pomocy redakcji „Państwa Pracy” krył Pan zapewne w prasie. Z dochodu ufundowaliśmy stypendium.

Montuję teraz pismo literackie, miesięcznik typu „Drog i”, tylko ściśle literacki. Poganiam lubelski. Związek, tresuję wleńczęków, do Krakowa ślągam. Przybeś chętnie się podporządkował, Czuchnowski również, a Piętaka po prostu sprowadziłem do Warszawy.

Rozruszam ich — nie ma obawy.

W tym czasie próbowałem „rozgrzyźć” poezję Czechowicza. Jego wyobraźnię mierzyłem własną wyobraźnią. Wydawało mi się, że jest to właśnie forma nie oceny lecz obcowania poety z poetą. Przekładając Czechowicza na własne myśli pisałem:

„Przy pierwszym zetknięciu Czechowicz wydaje mi się poetą mglistym, lecz wkrótce to wrażenie okazuje się złudzeniem. Może nadmieniona pozorna mglistość wynika ze swoistego daru poety zestawiania takich zjawisk, których w zwykłych, codziennych myślach nie łączymy. W istocie rzeczy Czechowicz jest typem poety o głębokiej filozofii natury. Jest w nim coś z jońskich metafizyków, jakieś połączenie heraklityzmu z „pitagoreizmem”. Złazacza ten „pitagoreizm” jest może najbardziej charakterystyczną właściwością poety. Już w Inwokacji do pierwszego tomu widzimy tę znamioną „metafizykę” w postaci śmiało stawianych tez, szkice wanych praw, określanych norm — i kult cyfry. Początkowo ten mistycyzm jest raczej werbalny, zewnętrznym programowy, ale stopniowo pogłębia się, przechodząc coraz bardziej od zewnętrznych znanach do istotnego wnętrza wiersza, zaczyna stawać się samym wierszem. Od cyfry i liczby przechodzi do śpiewu i muzyki. Ostatni tom W byskawicy jest już rodzajem poetyckiej „liry kosmicznej” lub „harmonii sfer”. Ta znamionna ewolucja w kierunku coraz bardziej zorganizowanej, świadomej zwłaszcza operatywnej muzyczności jest już skończonym systemem. Może nawet sugestia liczby muzycznej posunęła się do pewnej jednostronności, widocznej zwłaszcza do pewnej erotycznej ostatniego tomu. Pod przeważającą sugestią skrywają się zapewne chwilowo, ciekawe i charakterystyczne początkowo rysujące się niepokoje społeczne na rzecz rozłaganie metafizycznych. Poeta o wielkim bogactwie asocjacji.

(Dokończenie na str. 6—7)

SA to wspomnienia poniekąd osobliwe. Nie wynikają z bezpośrednich kontaktów. Nie znaliśmy się bowiem osobiście, chociaż łączyła nas prawdziwa przyjaźń. Cała moja wiedza o Czechowiczu jako osobie fizycznej nie wychodziła poza fotografię. Pozostał on też w mojej wyobraźni, jako delikatna, smutna, zamysłona postać młodzieńcza A właściwie — tylko jako twarz. Nic więcej. Nie próbowałem nigdy rozbudowywać tej skromnej wizji. Nie snułem fantazji na temat, jak mógłby wyglądać w rzeczywistości. Nie dodawałem nic od siebie, a jeżeli później od przyjaciół i znajomych Czechowicza usłyszałem co nieco o jego rzeczywistym wyglądzie, przyzwyczajeniach, nawykach i innych szczegółach natury codziennej, ani jeden pyłek z tych wiadomości nie przylgnął do pierwotnego, ustalonego na zawsze w mojej wyobraźni obrazu poety.

Może zjawiać się wątpliwość: i cóż to za wspomnienia, jeżeli pozbawione są ważnego w tym zakresie pierwiastka autopsji. Zapewne, ich ograniczoność jest widoczna, składają się wyłącznie z materiału archiwalnego. Niemniej kryje się w tym korzystna okoliczność. Jest nią znaczenie dokumentalne tych wspomnień, opartych na wypowiedziach pisemnych Czechowicza. Moje zaś komentarze wyjaśniają jedynie to, na którym powstały. Szczególnie ważny wydaje mi się fakt zaufania i szczerości, jakimi obdarzał mnie Czechowicz, pisząc czasami o intymnych sprawach. Niektóre z tych zwierzeń zastanawiają osobliwą tonacją, skierowaną jakby „w nieznaną”. Tłumacząc potrzebą wyzwolenia się z nastrojów przynębiających i smutnych lub potrzebą „pożalenia się” przed kimś przyjaznym a dalekim i nieznanym.

W 1932 roku powziąłem zamiysł opracowania Księgi współczesnych poetów polskich. Miała to być antologia zaopatrzona w obszerny materiał życiorysowy i bibliograficzny. Niektóre pisma zamieściły mój Apel do poetów, m. in. Zet Jerzego Brauna. Spotkałem się od razu z przychylnym odzewem Czechowicza. W liście z 7 października wypowiedział się następująco:

Wczytałem w „Zecie” o Pańskim zamierzeniu i mam wielką ochotę pomóc Panu, bo uważam, że mimo opracowań Kolaczkowski, Galińskiego i innych współczesna poezja polska nie została jeszcze opracowana syntetycznie, a co gorsza, brak jej nawet zwykłego, historycznego opracowania.

Antologia Galińskiego, pełna błędów i płytka jak „Wiedomości Literackie”, miała za punkt wyjścia stosunek publiczki z Małej Ziemiańskiej, która operuje tylko kategoriami: „duży talent”, „szczerzy talent”, „rzetelny talent”, bo na żadną ocenę zdobyć się nie potrafi.

Potrzebna jest książka ukazująca jak szedł pochód poetycki w Polsce (nie zaś jak szedł w Warszawie). I gdyby Pan nawet nie wdając się w krytykę napisał po prostu historię poezji polskiej lat ostatnich, już daby Pan wiele kulturze narodowej, obdarowując ją obrazem rzeczywistości.

Oto są motywy, dla których piszę do Pana i ofiarowuję moją pomoc.

Potoczyła się korespondencja na ten temat. W liście następnym, z dnia 13 października, Czechowicz, zastanawiając się nad moim planem przedstawionym mu szczegółowo, wyłożył obszerniej własne poglądy na zagadnienie antologii. Okazało się, że sam już dwa razy przystępował do opracowania antologii i porzucał pracę po pewnym czasie. Ilustruje te sprawy wyjątek z wymienionego listu:

Plan, który mi Pan przedstawił, jest tak rozległy, że zrealizowanie go wystarczyłoby na kilka książek, z których skróty daby w sumie wydawnictwo, o jakim Pan myśli. Tym więcej mi się ta rzecz podoba, że zamierzenia na szeroka skalę dawno już u nas uciechły.

Z prawdziwą przyjemnością będę Panu służył pomocą bodajby w zebraniu lubelskich materiałów oraz w skompletowaniu poetyckiej bibliografii, do której mam obszernie notatki. Najtrudniej w tej bibliografii o definicję. Wyluszczyć wszystko, to znaczy dać katalog księgarski, wybrać — ale jak wybrać? Sądzę, że ta bibliografia nie może być czymś osobnym, rozdziałem samym w sobie; może by dobrze było potraktować ją tylko jako bibliografię dzieł omówionych w tekście, bo przecież o „być czym” nie będzie Pan się rozplisywał. Z drugiej strony, rzecz ta nie jest całkowicie służna, o ile Pan podchodzi do zagadnienia metodą wyciągania wniosków z liczby, bo wtedy musi Pan mieć naprzód daną liczbę.



Józef Czechowicz  
(Rys. Jana Wydry, wł. Konrada Bielskiego)

Anatologia miałaby być gruntowną rewizją na Par-nasie. Propozycje zaprojektowane w końcowej części listu świadczą o wielkim nieporozumieniu między „młodymi” a „starymi”, jeżeli tak można było nazwać drobną różnicę wieku między poetami Skamandra a przedstawicielami awangardy. Nie o wiek tu chodziło, lecz o rozbieżność ideologii poetyckiej. Ale i „wiek” też miał znaczenie. Dziesięć lat różnicy między startem poetów Skamandra a startem Czechowicza, przypadającym na rok 1927 (tom Kamień), to przepaść; po jednej stronie uznane wielkości, po drugiej ledwie tolerowane zapowiedzi. Zdanie Czechowicza jest wyrazem buntu przeciw odczuwanej niesprawiedliwości, którą w istocie rzeczy usunąć mógł dopiero czas, nie antologie.

Nie dziwi nas obecnie, że Czechowicz „wyzna-czył” cztery wiersze Galińskiemu. Można uspra-wiedliwić też podobny przydział dla Czuchnowskiego, gdyż Poranek gorczy, zdawało się, wysuwał tego poetę na polskiego Rimbauda. Wyróżnienie Konrada Bielskiego to nie tylko sprawa gustu, ale także rzecz osobistego kultu. Czechowicz przyjaźnił się z Bielskim i wysoko, emocjonalnie cenil tę przyjaźń. Stąd dytyrambiczny ton wiersza We czterech w młodzień-czym Kamieniu.



MAMY dosyć wszelkich etykietek. Nie chcemy rzucania piorunów czy sprawowania sądów nad nami, a bez oklasków i dopingujących okrzyków też możemy się obejść. — Taką konkluzją zakończyła się jedna z rozmów, jakie prowadziłam z Władkiem i jego grupą. „Grupa” — to właściwie grono kolegów, związane wspólnymi dyskusjami, pracą, wspólnymi „prywatkami” i wyprawami na kawę. Są młodzi. Dopiero zaczynają studia. Dłuższa charakterystyka jest tu zresztą zbędna. Nad słowami, które wypowiedział Władek, zatrzymałam się tylko dlatego, że wydają mi się one najbardziej charakterystycznym skrótem opinii młodzieży o zjawisku „ocenia” jej. Dużo się o tych sprawach mówi i pisze, ale aż nazbyt często — ex cathedra. Spróbujmy sprawdzić najbardziej „obiegowe”, dawne i obecne sądy.

A więc najpierw ocena „historyczna”, to znaczy przedpaździernikowa: nasza młodzież w swej masie jest bojowa, pełna zapału, ufna. Nie trzeba chyba dodawać, że pod to określenie podkładano dosyć „urozmaiconą” treść. Mieściło się w nim obok uznania uczciwości i poczucia słuszności własnej sprawy, zjawiska wcale przecież nie wyjątkowego wśród działającej młodzieży, mimowolne zaakceptowanie „inkwizycji” uprawianej często w ZMP, wypaczonej niejednokrotnie czujności i tym podobnych zjawisk. Dlatego też ocena ta, przypisana i do takich faktów — okazała się dużym uproszczeniem.

Potem przyszła kolej na ocenę numer dwa. Brzmiała ona mniej więcej tak: nasza młodzież jest w swej większości nihilistyczna, zepsuta, bezideowa, egzystencjalistyczna. Ocena oczywiście znowu fałszywa, jak większość skrajnych sądów, dotyczących zjawisk złożonych i trudnych. Pomiędzy tym faktem, że zmieszanie w jednym worku wszystkich przytoczonych pojęć jest co najmniej grubym nieporozumieniem. Egzystencjalizm ze swoją główną tezą realizowania się człowieka w świecie przez własny czyn — jest filozofią trudną, ale wcale nie „nihilistyczną”, jak to się niektórym wydaje. Rzekomi „egzystencjaliści”, sprowadzający problem do mody wąskich spodni, włosów à la Marina Vlady i „nastroiku” — raczą się przyszłością „dziesiątą wodą” po egzystencjalizmie. Warto zdać sobie z tego sprawę. Będzie wtedy mniej pozornego „odkrywania nieznanych lądów”, a więcej szukania własnych dróg, chociażby w sztuce.

Po tej ocenie tak zwanych „sądów systematycznych” wypadałoby zapytać: Więc jakąż, do licha, jest ta młodzież? Zapytajmy jednak inaczej, znacznie prościej: Jacy jesteście?

Jacy jesteście my, którzy mamy dzisiaj 34, 24, 20, 18 lat... Trudno będzie na to pytanie odpowiedzieć, przede wszystkim dlatego, że jesteśmy... bardzo różni. Według metryki dzieli nas różnica kilku lat, naprawdę — kilku pokoleń. Pokolenie AK, podziemia i Powstania Warszawskiego — albo nosiło przez szereg lat kompleks krzywdy i odepchnięcia, albo, nieco rzadziej, z przekonaniem uczyło młodszych socjalizmu takiego, jakim był. Pokole-

nie, dla którego pierwszą szkołą życia społecznego były lata powojenne, — wierzyło we „wszystko łatwiej, żywo uczestniczyło w wielkim procesie tworzenia nowego ustroju. Kto wie, czy nie ono właśnie najgłębiej, najtragicznie przeżyło swoje „trzęsienie ziemi”. I wreszcie najmłodszy, nazywani słoga nowo „szczęśliwym pokoleniem”. Nie brali udziału w budowaniu podstaw ustroju. Przyszli — na gotowe. Dojrżeli w okresie najgorszym, uczyli się klamać, myślenie sprowadzali niejednokrotnie do mechanicznego wykonywania formuł. Ich bunt jest dzisiaj najbardziej powierzchowny — szal mody, zewnętrznie atrakcyjne „zachłystanie się” pogardą dla świata i wszystkich jego spraw. To dosyć zrozumiałe — to przejaw tego samego niedosytu myślenia i szukania czegoś więcej pod powierzchnią zjawisk, tylko — na odwrót.

Z nieodpartą koniecznością narzuca się pytanie: a Październik? Co z wielkiego „trzęsienia ziemi” wynika dla młodzieży? Co w związku z faktami sprzed kilku miesięcy można powiedzieć o niej? Tak — to jest zagadnienie zasadnicze. Mówienie o nim jest zarazem wysuwaniem wniosków z wcześniejszych rozważań. Nie można mówić o roli młodzieży w Październiku: to był tylko zryw, krótkotrwała, chociaż wartościowa emocja. Trzeba odróżnić samą formę „zrywu”, związaną z konkretną sytuacją — od koncepcji długofalowych wartości trwałych. Do nich należy m. in. idea klubów dyskusyjnych, samodzielności politycznej organizacji młodzieżowej,

prawdziwej więzi inteligencji z robotnikami. Do nich należy także zdobyty wtedy kredyt zaufania. I to ostatnie jest chyba najważniejsze. A jednocześnie to wartość krucha. Łatwo ją zaprzepaścić. Zaprzepaszczaniem tej wartości byłoby ze strony młodzieży próby powrotu do form demonstracji, jakże uzasadnionych w październiku, niezrozumienie istniejącej przecież faktycznie racji narodu, racji stanu. Ale zaprzepaszczaniem tej samej wartości może być z drugiej strony podkładanie pod to pojęcie zbyt wielu spraw, wcale z nim nie związanych w sposób konieczny.

Zaufanie przełożone na konkrety — to właśnie rozwój ruchu klubowego, grup zajmujących się wszelkimi interesującymi młodych zagadnieniami, rozkwit różnego rodzaju zrzeszeń kulturalnych, turystycznych, rozrywkowych, przerzucenie szerokiego pomostu między młodzieżą naszą a młodzieżą innych krajów, bez względu na ich ustrój.

To także przede wszystkim wspomnianą już samodzielność organizacji młodzieżowych — ZMS i ZMW. Rozwój organizacji może być zahamowany nie tylko pod wpływem bezpośrednich dyrektyw, administrowania. Czasem wystarczy przejście pewnych dawnych form agitacji, „wtłoczenie” na siłę na stanowisko kierownicze kilku wyjątkowo, niejako „reprezentatywnie” niepopularnych ludzi, ogarniętych niekiedy manią podejrliwości w stosunku do nowych, dopiero rodzących się inicjatyw, nienaturalne pchanie ku maso-

wości, bez koncepcji konkretnej, codziennej, nie „akcyjnej” pracy i dyskusji. Nie warto zastanawiać się nad obiektywnym „ciężarem gatunkowym” takich posunięć. Wystarczy, że działają źle, hamująco.

Zaufać młodzieży — to znaczy pozwolić jej „przeżywać Październik”. Nie w pochodach i protestach, ale w codziennej samodzielnej pracy, w dyskusji, w rozumnym eksperymencie tworzącym. Młodzież jest różna i różne będą na pewno formy jej działania, różna wartość koncepcji i planów. Ale to nie jest chyba najważniejsze. Najważniejsze — to ocalić w nas wszystkich poczucie sensu tego, czego dokonali Październik i co powinno być — nieodwracalne.

„Wewnętrzna emigracja”, o której pisze Ryszard Turcki w artykule „Mitologia i rzeczywistość” w „Po prostu” grozi dużej części młodzieży. Jest to zjawisko niebezpieczne. Nie da się go zwalczyć bez uświadomienia sobie przez samą młodzież skutków takiej postawy, ale konieczne też jest — przedłużenie młodzieży kredytu zaufania. Mimo wszelkich trudności i oporów młodzież jest w przeważającej masie — socjalistyczna. I dlatego nie tylko można, ale należy jej zaufać.

Wierzę, że wtedy nie będzie okrzyków przerażenia na temat rzekomego masowego „nihilizmu”, przeceniania przelotnych, zawsze zewnętrznych „mód” i gorzkich, chociaż nieco przesadnych stwierdzeń, wieńczących otwieranie studenckich piwnic i kabeletów literackich: „Zeszliliśmy pod ziemię, bo gdzie indziej nie ma dla nas miejsca...”

Miejsce musi się znaleźć dla wszystkich młodych ludzi, uczciwych i myślicy — to jest przecież najgłębszy sens naszego ustroju.

„Wróć uśmiechniętą młodzież chłopcom dwunastoletnim, o starczych, zmitych twarzach — przed sądem dla nieletnich”. (W. Sebyła)

TEN Dominów (nie mieszać z innymi) jest oddalony o kilka kilometrów od Lublina. Z szosy prowadzącej do Wysokiego i Biłgoraja w dolinie za rzeczką i stawami widać ukryty w wysokich drzewach mały domek. Mieści się tu schronisko dla nieletnich.

Z gościnności tej placówki korzystają chłopcy od lat 13-tu czekający na sprawę lub na wolne miejsce w zakładzie.

Oczywiście, nie wszystkimi z przybywających tu chłopców zaopiekuje się dom poprawczy. Wielu z nich (około 70%) powróci do rodziców, lub pod opiekę kuratora.

„Kobieta ta miała już więcej niż trzydzieści lat i starszy nie dałby się naciągnąć. Spotkałem ją na stacji. Poszliśmy do ustępu. Powiedziała mi potem, żebym przyprowadził swego kolegę. Kolejarz usłyszał jakieś szamotanie i zajął do środka. Ostatni najmłodszy uciekł, ale zapomniał płaszczka.

Na posterunku oskarżyła nas o gwałt...”

„Ile tych włamań było. Już nie pamiętam. Chyba trzydzieści parę. Niech pan napisze, że jeśli mi dadzą poprawczaka, to i tak będę kradł. Tam wystarczy postuchać tylko tego, co in-

## Wróć uśmiechniętą młodzież

J. W. ZIĘBA

ni opowiedzą. Byłem już osiem miesięcy w zakładzie wychowawczym, to wiem. Pierwszy raz siedziałem za drobne kradzieże...”

„To było tak. Byłem cały tydzień na wagarach. Powiedzieli mi w szkole, że się ciotka o tym dowiedziała. Wróciłem do domu, ale jak zaczęła gadać, uciekłem do starszego kolegi, który miał dwadzieścia jeden lat i siedział już kiedyś w poprawczaku. Kiedy ciotka przychodziła, chowałem się na strych. Pojechaliśmy potem do Wołomina składać karuzelę na zimą, bo ten chłopiec pracował w lecie u właściciela. Zostawił w wozie otwarte okno i w nocy wyciągnęliśmy stamtąd trzy wiatrówki, adapter i wzmacniacz. Mówił, że da mi pieniądze na podróż do ojca, bo babka piśla, że dowiedziała się jego adresu...”

„Spaliśmy na trawie. Aż tu ktoś uderzył mnie w mordę. Zrywam się, a tu kolega trzyma nóż. Uderzył, ale bardzo lekko skaleczył. Ja też miałem, ale nie wyjmowałem z kieszeni. Zbiegło się ich z pięciu. Rzucili się na nas. Zwiążali. Dostałem za to trzy lata z zawieszaniem. Sprawa była 10-go, a zaraz 13-go miałem włamanie do warsztatu ślusarskiego. Zabrali mnie z domu. Na święta jeszcze z dwoma kolegami uciekłem ze schroniska, ale złapali nas tej samej nocy przy obrabianiu kiosku...”

„Jak wyjdę, to będę obchodził wszystko z daleka. Nawet tych chłopców nie znam. Zobaczyłem, że jeden wyciąga z wozu kłonicę. Złapałem za kamień i rzuciłem.

Przyczynę? A może przyczynę tego tkwiącą w każdym z nas? A może tu jak w soczewce załamują się, tylko pod bardzo ostrym kątem, promienie, które emanujemy?

My potrafiłszyśmy założyć maskę, udawać. My wiemy, że białe może być nieraz czarne lub szare, i to nas nie dziwi. Dużo się przecież widziało.

Oni po dokonaniu takiego odkrycia przestają wierzyć w białe i czarne. Najlepiej robić wtedy tak, jak jest wygodniej. Nie — jak jest najatrakcyjniej.

— Zresztą, to wszystko, o czym mówią starsi, to przecież straszna lipa. Przecież oni w to i tak nie wierzą. A

jeśli, a jeśli naprawdę wierzą w to, co oni mówią, to dlaczego nie mam roweru, motocykla? Wszyscy mamy przecież do tego równe prawo. Ludzie są równi. Każdy ma prawo. A więc dlaczego? dlaczego? dlaczego?

W schronisku dla nieletnich w Dominowie około 90% chłopców nie ma obojga lub jednego z rodziców. Rodzice jeśli są, to najczęściej oboje pracują zarobkowo. Nie jest to jednak prawdziwy odsetek młodych przestępców. Tylko tu tacy najczęściej docierają, bo kto może za nich zareczyć, że dobrowolnie staną na rozprawę sądową, że nie popełnią tymczasem nowego przestępstwa?

Ostrzyżone na zero głowy. Początkowo w piżamach, by łatwiej było nowego rozpoznać, później w drelichach, których krawcowa nie nadaje reperować, a praczka prac. Patrz przez okratowane okna. Myślą, jakby tu się wydostać na świeże powietrze. (Dopiero po lekcjach i uprzątnięciu sal można pograć w piłkę).

Chłopcy ze starszej grupy siedzą przy długich, pomalowanych na brązowo stołach. Sala ta służy zarazem za jadalnię i świetlicę.

— I jak tu słuchać tego, co mówią nauczycieli? Chemia, fizyka? podmiot? orzeczenie?...

Warkot motoru. Wszyscy biegną do okien.

— Suka! Suka! Ciekawe, czy kogoś przywiezie?

Przybycie „więźniarki” do schroniska jest chyba największą atrakcją dla młodych mieszkańców. Zawsze ktoś przybywa lub kogoś zabierają.

Trochę podniecony kandydat podróży otrzymuje z depozytu własne ubranie. Jasne półbuty na kauczuku, koszula w jaskrawą kratę budzą pewnego rodzaju zazdrość i melancholijne westchnienia.

— Żeby to mnie już wzięli na sprawę. Ty tylko miesiąc siedziałeś i już, a o mnie to już chyba zapomnieli, osiem miesięcy. No, trzymaj się. Pamiętaj, pisz, jak ci tam pójdzie.

Wychodzący ścisną ręce kolegów, wychowawców, nauczycieli. Wszyscy życzą mu, by już do schroniska nie wracał.

Przez okratowane, zakurzone okienko widać bardzo niewiele. Po rodzajem trzęsienia można się zorientować, że samochód minął Abramowicę i wyjechał na gładką powierzchnię asfaltu. Zaczyna się Lublin, ulica Kunieckiego. Ciemno, tunel.

Potem na wysokości okienka migają sklepowe wystawy, tabliczki.

Zgrzyt klucza, Orla — Izba zatrzymała się — Warszawa, Płock, Mińsk Mazowiecki, Zamość, Płońsk, Siedlce...

Przelotowość w schronisku wynosi około 150 osób rocznie.

(Dokończenie na str. 9)

## O człowieku, który podtrzymywał dom

RENATA ZWOŹNIAKOWA

STAŁ tu już od bardzo dawna. Był zastygły w nieruchomej pozycji jak wartyownik na honorowym posterunku. Jedną ręką wyciągniętą przed siebie podtrzymywał dom. Mówił: dom jest wielki — dom jest bardzo wielki i okazały, ale jego ściany wymagają podpory. Jeżeli skurczę rękę, dom może runąć. A do tego nie wolno mi dopuścić! I dawał: jestem przecież w jakimś sposobie odpowiedzialny za ten gmach. Ludzie go mijali czasem, uśmiechali się do niego. Szanowali długą, upartą trud podpierającego ścianę. Wydawało mu się, że jego praca jest społecznie bardzo ważna. Przecież wielki dom jest potrzebny — byłoby niepowetowaną stratą, gdyby się zawalił.

Aż raz... Jakis przechodzień — taki sobie zwykły, niczym się nie wyróżniający przechodzień spojrzął na człowieka z wyciągniętą ręką i zawołał: co ty robisz najlepszego? — po co tu stoisz? Jak to — po co — zdziwił się zapytany. Przecież muszę podierać ten dom...

Dom?

Dom? — zawołał przechodzień.

Ależ opierasz rękę nie o ścianę, tylko o powietrze. Przecież tu nie ma żadnego domu!

Człowiek, który podierał dom, zadrżał. Opuścił rękę i nic nie runęło. Spojrzął i nic nie zobaczył obok siebie, oprócz drgającego w świetle powietrza. Domu nie było i nic nie wskazywało na to, żeby tu stał kiedykolwiek.

Nadeszło wielu ludzi. Dziwił się bardzo i smucili. A człowiek podpierający dom zapłakał: i za cóż ja teraz będę odpowiedzialny?



## przekłady

## z poezji

## rosyjskiej

K. A. Jaworskiego

MAKSYMILIAN WOŁOZYŃ

Głowa Madame  
de Lamballe

(4 września 1792)

To namiętne i gibkie me ciało  
czerni paryska zmiażdżyła nogami.  
I nad nagim się trupem znęcała...  
I na ciało  
nie śmiałam  
popatrzeć...  
Ale mnie odrąbano od ciała  
rzucając splachęć  
spalonego mięsa na kamień...

I pijana radość motłochu  
przez ścisk ulic mnie niosła nieczuła,  
Ktoś z oprawców pił w szynku alkohol  
i na mokry mnie rzucił kontuar...  
Ale balwierz porwał mnie z lady,  
moje loki rozczesał płowe,  
naróżował policzki blade  
i upudrował...

Wtedy cała pobita, skrwawiona,  
ręką łotra  
jak na dworski bal utrefiona  
ponad tłumem na pice wyrosłam  
chmielnym tysem...

Trwał dur bachanalli,  
śpiewał motłoch w szaleństwie swym święty...  
Zda się jestem na balu w Wersalu —  
fale tańca mną kręcą namiętne...  
Niby płomień śpiew dziki się szerzył.  
I po wąskich więziennych schodach  
jam się wzniosła do okienka w wieży,  
by królowej gniew ludu zwiastować.



MARINA CWIETAJEW

## Z cyklu „Płaszcz“

Miał don Juan wystrzoną szpadę,  
miał don Juan młodą donnę Annę.  
Oto wszystko, co mi powiedziano  
o przepięknym, o nieszczęsnym don Juanie.

Ale dziś na drogę wyszłam mrok  
w północ, jedną myślą urzeczona:  
ktoś wyliczał mi imiona,  
idąc za mną w krok.

I we mgle się bielił kij drewniany.  
Nie miał już don Juan biedny donny Anny.

Złożył kiedyś ślubowanie  
przed posągiem Panny Świętej:  
wiernym być na zawsze pani,  
której wzrok jest nieugięty.

I zapomniał o przysiędze,  
i wciąż nowych pieczętów szukał,  
w czasie zwady zginął nędznie  
i do raju wrót zapukał.

— Czyś nie złożył ślubowania —  
głos się rozległ Panny Świętej —  
wiernym być na zawsze pani,  
której wzrok jest nieugięty?

Odejdź stąd, nie takie żniwa  
zbiera tutaj Pan Odwieczny,  
kto przysięgę daną zrywa,  
w tym Królestwie jest zbyteczny —

Ale z smutkiem i ze łzami  
padł do nóg on Panny Świętej:  
— Nie znalazłem nigdzie pani,  
której wzrok jest nieugięty —



TEODOR SOŁOGUB

## Cicha kołysanka

Chłopczyk mój się dziś nabiegał,  
Nóżki gołe pokrył kurz.  
Nóżki miłe umyć trzeba,  
a przy myciu oczka zmrzuz.  
Mama potem cię otuli:  
lulaj — lulaj — lulaj — luli.

Cicho do drzwi ktoś zapukał.  
— Wejdz — szepnęłam — wejdz tu, Śnie.  
Włosy jego w jasnych puklach,  
a na piersi rączki dwie.  
Śpiewam cicho, coraz czulej:  
lulaj — lulaj — lulaj — luli.

— Śnie, gdzie byłeś? — Gdzie mogiła.  
— Coś tam widział? — Księżyc w mgle.  
— Był ktoś z tobą? — Siostra była.  
— Siostra przyszła do nas? — Nie.  
Po cichutku śpiewam czule:  
lulaj — lulaj — lulaj — luli.

Drzemie w górze miesiąc błądy.  
Cisza w sady. Nie drży liść.  
Ktoś się tam za oknem skrada,  
ktoś się żali: — Chcę tu przyjść  
Cichuteńko śpiewam czule:  
lulaj — lulaj — lulaj — luli.

Ktoś pod oknem wciąż biadoli,  
jakby wśród gałązek wiatr:  
— Chora jestem. Wszystko boli.  
Wysłuchajcie moich skarg.  
Jeszcze ciszej śpiewam czule:  
lulaj — lulaj — lulaj — luli.

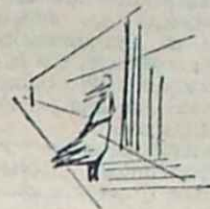
— Nakosiłam się dzień cały.  
Już nie mogę. Stygnie krew. —  
W oknie zachwiał się ktoś biały  
i przyczał się wśród drzew.  
Śpiewam, śpiewam jak najczulej:  
lulaj — lulaj — lulaj — luli.



Zacisnęła ręce pod woalem:  
— Takaś błąda, wyglądasz tak smutnie... —  
To dlatego, że go cierpkim żalem  
napoiłam dzisiaj zbyt okrutnie.

Gdy wychodził, na nogach się ślaniał  
i na ustach bolesny miał grymas...  
Więc po schodach zbiegłam szybko za nim  
i przed bramą go chciałam zatrzymać.

Zadyszana krzyknęłam: — Zapomnij!  
Gdy odejdziesz, śmierć mnie z ziemi zetrze. —  
On uśmiechnął się spokojnie do mnie  
i rzekł: — Nie stój na tym zimnym wietrze. —



BORYS PASTERNAK

## Choroba

O zmierzchu dla mnie zawsze pensjonarką jesteś,  
wciąż — uczennicą. Zima. A zachód leśniczym  
jest w lesie godzin. Leżę i czekam, aż zmierzchnie,  
i już — nawołujemy się oboje, krzyczymy.

Lecz noc, lecz noc! To piekło, po prostu nieszczęście!  
Wiedziałaśbyś coś o niej, już byś tu na skrzydłach!  
Noc długa to twój krok, twój ślub i twe zamięście,  
nad śledztwo w sądzie cięższa i bardziej obrzydła.

Pamiętasz życie? Wspomnij, jak gołąbków stadem  
leciały płatki piersią w pierś mlejskiego krzyku,  
wiatr wpadał na nie chciwie, kręcił, aż się kładły  
z rymsztoków na śnieg jezdnii, na płyty chodników.

Tys przebiegała! Przecież podsuwał usłudzie,  
pod nogi nam dywanem saneczki, kryształ!  
Wszak życie rozjarzone jak obłok w purpurze,  
jak posoka pożarem zamieci smagało!

Pamiętasz tamten ruch? I czas pamiętasz? Twarze?  
Stragany? Sklepiarkarki? Ścisk przy zmianie monet,  
dźwięczących, chłodnych monet? Czy pamiętasz także  
w wigilię święta dzwony w górze rozdzwonione?

Niestety, miłość! Tak, to już powiedzieć muszę!  
Czym mam zastąpić ciebie? Tłuszczem?

[Może bromem?

Jak koń spode łba patrzeć w gorączce z poduszek,  
patrzę w obawie nocy bezsennej, ogromnej.

O zmierzchu dla mnie jesteś jakby wprost

[ze szkoły,

wprost z egzaminu. Czyżyk, migrena, podręcznik.  
Lecz w nocy! Jak są oczy kapsulek ze stołu  
ogniste i lekarstwo, by je pić, jak męczy!



## Z cyklu „Zerwanie“

Mój stół zbyt wąski jest, bym piersią całą  
na burtę naparł i odciągnął łokieć  
za brzeg tęsknoty, za ten przesmyk trwały  
przez tyle wiorst przeoranego „z Bogiem!“.

— Tam teraz noc, — za karkiem twym  
kochanym,  
— i na spoczynek, — w twych królestwo ramion  
— i gaszą lampę, — zwróciłbym je rano,  
gałęzią senną dotknąłby ich ganek.

O, nie płatkami! Dłońmi kryj! Dośćcignął  
O, dziesięć palców męki wraz z bruzdami  
trzykrólskich gwiazd jak opóźnienia sygnał  
pociągów ku północy mknących poprzez zamieć!



Stanisław Jerschina, Zdzisław Libera, Eugeniusz Sawrymowicz, Historia literatury polskiej okresu romantyzmu, Podręcznik próbny dla kl. X, Warszawa 1956, PZWS.

NA wstępie muszę... się pożalić — na trudności. Mam pisać o podręczniku trójcy autorów, którzy zrobili bardzo ściśle, sięgając do wnętrza poszczególnych rozdziałów przepłatanke, o podręczniku nieco tajemniczym, bo jako próbny dotarł tylko do wybranych, o podręczniku dostosowanym do niezatwierdzonego jeszcze a tylko projektowanego programu.

Praca „triumwiratu” (w okresie dwudziestolecia był „Quincunx”) pierwsze wrażenie robi dobre. Układ na ogół racjonalny, wykład jasny, często zajmujący, nie przerażający poziomu umysłowego młodzieży, niektóre analizy bardzo sugestywne (np. sonetu Zegluga), socjologizm umiarkowany. Tekst, jak zapowiada redakcja, ma być urozmaicony ilustracjami, dopełniony bibliografią. Słowem chciałoby się westchnąć z ulgą: „Nareszcie!”.

Przy bliższym jednak wglądzie wyłazają rozmaite „ale”, „jednak” i niestety, choć przykro, nauczyciel ma obowiązek o nich mówić.

Już przy pierwszym zetknięciu się drażni konwencjonalna terminologia (słowo użyte celowo), tak dokuczliwa w minionym okresie, że budzi odruchowy, nie zawsze może słuszny sprzeciw: „samotny szlachecki rewolucjonista”, „niedojrzałość ideologiczna”, „walka narodowo-wyzwoleńcza” itp. Ten ostatni zwrot jest szczególnie irytujący. Po co ten złożony dźwiękowo niemily (wo-wo) przymiotnik? Czyż nie bardziej po polsku brzmi „walka o wyzwolenie narodu”? Polonistka pisała już kiedyś o dzisiejszej niezgodnej z duchem języka polskiego modzie tworzenia przymiotników od rzeczowników, zamiast używania przydawek rzeczownych z przymkami. Widziałam we Wrocławiu zabawny szyld — „Odzież młodzieżowa”.

Jest, niestety, i tradycyjny schematyczny, choć nie tak narzucający się jak dawniej sposób oceniania pisarzy przez określenia „postępowy”, „wsteczny”. Skąd to zacofanie? Po uważnym obejrzeniu karty tytułowej sprawa staje się jasna. Podręcznik „oddano do składu 18.VII.1956 r. Druk ukończono w sierpniu 1956 r.” A więc październikowa wiosna nie roztopiła jeszcze wszystkich lodów dogmatyzmu i schematyzmu.

Są i braki poważniejsze. Omówię je w kolejności wysuniętych przez redakcję w przedmowie głównych zagadnień: 1. Stosunek do programu, 2. Metoda wykładu, 3. Sprawa kompozycji i parę innych.

1.

Projekt programu dla klas IX — XI został wydrukowany w N-rze 5 Polonistyki z r. 1956.

Podręcznik jest zgodny z założeniami i układem programu, ale znacznie rozszerza materiał, co jest niewątpliwie dużą zaletą, gdyż daje pełniejszy obraz rozwoju naszej literatury na tle ogólnego stanu kultury danej epoki. Tych „kulturowych” informacji trochę za mało. Wprowadza np. Malczewskiego i Zaleskiego, o których nie ma wzmianki w programie, omawia a przynajmniej wspomina prawie wszystkie ważniejsze utwory Słowackiego skrzywdzonego przez program itp. Nie zawsze jednak zachowuje należyte proporcje. Np. wśród poetów legionowych króciutko omówiony jest nawet Kantorbery Tymowski a wśród poetów „krajowych” po r. 1830 nie ma Wincentego Pola (nawet wśród pisarzy reakcyjnych). A był on przecież i autorem Pieśni Janusza tak popularnych, że stały się bezimienną własnością ogółu i miały wielkie znaczenie w okresie niewoli.

Młodzieńcza twórczość Mickiewicza została omówiona wyczerpująco. Dla uwydatnienia wpływu Woltera scharakteryzowano pokrótce Mieszka, Karłowę, Darczanek. Tytuł ostatni nie został wyjaśniony, a ośmieszanie świętych poszło wyłącznie na rachunek Mickiewicza (patrz str. 71). Natomiast Hymn na dzień Zwiastowania został przemilczany całkowicie. Tak samo nie wymieniono nawet tytułów wierszy religijnych, jak Rozmowa wieczorna, Rozum i wiara i in. Chyba nie trzeba komentarzy.

Znajdujemy dość obfite wiadomości o poetach w kraju po r. 1830 (z wyjątkiem W. Pola) z tytułami utworów, niekiedy z omówieniami i cytatami, nie zawsze udanymi pod względem wartości poetyckiej (np. fragment z Don Juana Berwińskiego), a w twórczości Norwida (dość trafnie i żywo scharakteryzowa-

nej) pominięto zupełnie jego utwory dramatyczne i nowele. Zubożenie sylwetki twórczej bardzo dotkliwie.

Powtarza też podręcznik błędy układu programu, których łatwo można byłoby uniknąć, nie narażając się na zarzut nieolejności. Najpierw przedstawiony został romantyzm w Polsce, a potem na Zachodzie. Kolejność wypływająca z przesłanek ideologicznych (czy słusznych?), ale przecząca chronologii i prowadząca do powtarzania się a nawet wyraźnego braku logiki: no bo jakże... objaśnienie wyrazów „romantyzm”, „romantyczny” jest podane dopiero na str. 27 przy romantyzmie w Niemczech, a pojęciami tymi operuje się od strony 2.

## Romantyzm w klasie X

WANDA ACHREMOWICZOWA

Bardzo ogólnikowo i dorywczo został przedstawiony klasycyzm i stąd informację o przeciwstawianiu się romantyków regułom klasycystycznym są pozbawione należytej motywacji. Chyba założyć, że wiadomości o teorii klasycyzmu powinny być podane w kl. IX przy opracowywaniu epoki stanisławowskiej.

Za programem podaje podręcznik zupełnie zbędny i zaciemniający obraz — podział na romantyzm postępowy i wsteczny. Czy nie lepiej zamiast sztucznego wyróżniania „nurtów”, mówić o konkretnych pisarzach, ich poglądach i postawie wobec życia? Przecież w rozdziale ostatnim, syntetyzującym, wprowadzone zostały pojęcia — romantyzm epoki i — romantyzm prądu — i wyjaśniono, że o niektórych pisarzach trzeba powiedzieć tylko, „że tworzyli w epoce romantyzmu”. Po co więc te etykiety. Z wstecznym „nurt” jest sporo kłopotu. Jakich przedstawicieli jego wymienić? Znaleźli się w nim autorzy, o których młodzież prawie nie wie: Rzewuski, Grabowski, później Kaczkowski. Główne odium spada na Krasieńskiego, którego Nieboską uznano już za utwór wartościowy (str. 10). Na czym więc opiera się twierdzenie na str. 12: „Gdy... romantycy postępowi za pośrednictwem fantastycznych wydarzeń, zjawisk i postaci starali się wypowiadać prawdzi-

we sądy o życiu i świecie, fantastyka romantyków wstecznych była często ucieczką od rzeczywistości w świat ucieczką od rzeczywiście w świat cudów, czarów i duchów”. O jakich fantastycznych utworach mowa? Gdzie ich szukać — u Rzewuskiego czy Kaczkowskiego, bo przecież fantastyka Nieboskiej została uznana (str. 260) za środek do wypowiedziania prawd o rzeczywistości. Przy charakterystyce romantyzmu europejskiego te same trudności. Jako romantyk wsteczny został napiętnowany tylko Chateaubriand, u Walter-Scotta niektóre cechy. Gdzie więc aż „nurt”?

Styl jest — i słusznie — pojęty bardzo szeroko, ale rozdział o stylu romantycznym przed poznaniem utworów

romantyków jest dydaktycznie szkodliwy, bo narzuca z góry spostrzeżenia, które młodzież może zrobić sama. Należy go umieścić przy końcowej syntezie epoki.

Różnie, jak wyjaśnia przedmowa, jest potraktowana przez autorów analiza utworów nie wchodzących do programu. Jedne rozdziały omawiają je krótko, ogólnikowo, inne „dość wyczerpująco”. Obie metody w stosunku do tych utworów budzą zastrzeżenia, gdyż i rzekomo obszerniejsze omówienie sprowadza się często do paru informacji, (które czasem są deformacją) i przytoczenia cytatu. Tak np. rozdział o wierszu Mickiewicza Do Joachima Lelewela — 24 w. omówienia, 17 — cytatu. Wiersz Do Matki Polki — streszczony bardzo niedbale, a zacytowana zwrotka zaczynająca się od słów: „Wcześniej mu ręce okręcają łańcuchem”... została nazwana zakończeniem, tymczasem w tekście następują po niej jeszcze trzy z zupełnie innym akcentem końcowym. Uważniejsi uczniowie zaraz to podchwycą.

W rozdziale o Słowackim cytaty są umiejętniej stosowane, natomiast „omówienie ogólne” utworów nie należących do programu grzeszy nieraz dowolnością czy raczej tendencyjnością. A więc młodsze utwory Słowackiego „mają wyraźny związek z ówczesną rzeczywistością” (str. 191). Jakież utwo-

wiązku tego są zupełnie pozbawione? Gorzej, że ten związek podkreśla się jako dominantę utworu. Np. Maria Stuart to „ostra krytyka monarchicznej władzy sprawowanej bez woli ludu” (tamże).

Nawrotem do krytykowanego już przez Wójcickiego natrętnego biografiźmu jest identyfikowanie bohaterów Godziny myśli ze Słowackim, Spitznaglem i Ludwiką Śniadecką.

Anelli jest dla autora obrazem stosunków na emigracji, o obrazach martyrologii Polaków na Syberii ani słowa. Zdanie „ogólne” o utworze jest co najmniej niejasne: „...pod formą religijną ukryta jest głęboka treść patriotyczna i polityczna z uczuciami religijnymi, w ścisłym znaczeniu, nie mająca wiele wspólnego”. (str. 217, podkr. moje). W jakim znaczeniu zostały tu użyte wyrazy forma i treść? Czy forma to coś niższego?

Takie omawianie utworów, których młodzież nie ma obowiązku przeczytać i w większości wypadków nie przeczyta, oddaje złą przysługę naszym największym poetom.

Czy należy dawać analizy utworów wchodzących do programu? Czy pozostawić to zadanie całkowicie nauczycielowi? A jeśli dawać — to czy tylko wysuwać problemy kluczowe, czy też omawiać wszystkie sprawy w sposób bardziej popularny (jak zrobiono z Panem Tadeuszem)? To ostatnie pytanie — postawione zostało przez redakcję. Autorzy dali różne rozwiązania. Byłabym raczej za tą pierwszą metodą — wysuwania tylko głównych zagadnień, gdyż sprzyja ona bardziej rozwojowi samodzielnego myślenia uczniów, tak bardzo dziś upośledzonego.

Najlepiej byłoby chyba dać dwa rodzaje pomocy naukowych: podręcznik zawierający zwięzłe rzeczowe informacje i charakterystyki syntetyczne autorów i epok, i osobno wydane analizy utworów, jakie np. wydawał Lamus lubelski przy współdziałaniu takich „asów” nauki jak Kleiner. Wtedy analizy byłyby naprawdę poważne i wyczerpujące. Nie ma to miejsca w podręczniku, chyba gdyby jego objętość osiągnęła rozmiary podręczników radzieckich mających po kilkaset stron. Mam ostatnio do czynienia z podręcznikiem na kl. IX dla szkół nierosyjskich z r. 1955, ogromnie instruktywnym i zajmującym, połączonym z wy-pisami, liczy str. 727.

Niedopuszczalne są analizy naciągane do powziętych z góry założeń i choć niby nie fałszujące tekstu, ale nadają-

OD PIERWSZEJ godziny pobytu w Leningradzie i od pierwszej przechadzki jego ulicami — idą za mną echa puszkiniowskiej poezji. Nie potrzebuję nawet sięgać do zabranej ze sobą w podróż „Lutni Puszkina”. Czytane po wielokroć wiersze w obliczu Jeźdźca Miedzianego, Nowy spięty klamrami mostów i uwięzionej w granitowych brzegach — same wypływają z dna pamięci:

...Na gwarynych, ożywionych brzegach  
Dziś w świetnych tłocz się szeregach  
Pałace smukłe, domy, baszty,  
I tłumnie z wszystkich krańców ziemi  
Do portów zawiązają maszty.  
Nowe granitu odział zrab  
I mosty osiadały wody,  
Cienista jest na wyspach głęb,  
Ciemnozielone są ogrody...

W tym mieście, które należy nie tylko do największych miast na radzieckiej ziemi, ale i do największych w świecie — nie można ująć czarom poezji — i nie można opędzić się wspomnieniom o Puszkynie — wspomnieniom, jakie przekazała zarówno historia literatury, jak legenda. Wędrując śladami poety przez gorąco przez niego uko-chane i z miłością opiewane miasto, trudno się oprzeć pokusie odwiedzenia jego domu, który do dziś istnieje, wiernie odtworzony w kształcie takim, jaki mu przed laty nadał poeta.

DOM mieszkalny poety, w którym urządzono muzeum, mieści się na uboczu, nieco od centrum miasta — na wybrzeżu Mojki. Leniwa woda, ledwie-ledwie sięgała pod szklistym oddechem przymrozków, błyska ciemną falą. Dom, oznaczony numerem 12, w porównaniu z przepychem pięknych leningradzkich gmachów, wydaje się skromny i nie wyróżnia się niczym szczególnym spośród innych otaczających go kamienic.

Tutaj mieszkał Puszkina od jesieni 1836 r. aż do śmierci. Tutaj pisał ostatnie swoje dzieła i szlifował strofy swoich wierszy. Tutaj, podczas długich dni i bezsennych nocy przetrwał go-

rycz, zazdrość i bezsilny żal — oplataną pajęczką siecią intryg, jakie rozsnuli wokół niego wrogowie — dworacy. Stąd wyruszył w ostatnią swą drogę — na pojedynek, podczas którego padł, rażony kulą d'Anthésa. Tu zmarł 10 lutego 1837 roku.

Carscy sługusi, czynownicy, dygnitarze, żandarmi — ci wszyscy, którzy nienawidzili Puszkina i organizowali przeciw niemu nagonkę za życia — nie dali poecie spokoju nawet po śmierci. Gdy wdowa po Puszkynie przeniosła się na wieś pod Moskwę, gabinet poety opieczętowano, a w latach późniejszych urządzono tutaj kancelarię jednego z urzędników kolejowych! 50-tą rocznicę śmierci poety uczczono wmurowaniem w fasadę domu tablicy pamiątkowej, nie jednak wówczas nie zrobiono, aby domowi poety przywrócić jego dawny kształt i dawną postać. W roku 1910 ówczesni „ojcowie miasta” zaplanowali przebudowę domu dla zwiększenia jego... dochodowości! Dopiero po ugrontowaniu władzy radzieckiej — ściślej od roku 1924 — przystąpiono do planowej pracy nad orestaurowaniem domu puszkiniowskiego, który stał się placówką Akademii Nauk ZSRR. Długo, bo lata całe trwało uzupełnianie i kompletowanie wnętrza domu; z dawnego jego urzędnika ocalały tylko sprzęty i przedmioty, znajdujące się w pracowni Puszkina. Inne pokoje wyposażono w meble stylowe z lat trzydziestych ubiegłego wieku.

Podczas wojny część zawartości muzeum ewakuowano na bezpieczne zaplecze przechowywane w podziemiach Ermitażu. Bomby hitlerowskie uszkodziły w listopadzie 1941 roku dom poety, wnętrze domu zniszczyła ponadto woda płynąca z zerwanymi przewodami. Mimo to jednak liczni mieszkańcy Leningradu: pisarze, artyści, robotnicy, żołnierze — przybyli do siedziby poety 10 lutego 1944 roku uczcić rocznicę jego śmierci. Jeszcze wojna trwała, gdy przystąpiono do remontu puszkiniowskiej siedziby.

odbudowany pieczołowicie w dawnym kształcie domu, którego rekonstrukcji dokonano wedle planów i no-

## Śladami

MONIKA

tatek serdecznego przyjaciela Puszkina, Zukowskiego, składa się z ośmiu pokoi oraz hallu. W obszernej sali „bufetowej” zgromadzono liczne rysunki, litografie, sztychy i obrazy, charakterystyczne dla Petersburga lat trzydziestych minionego wieku. Są tu również fotokopie ważkich i ciekawych dokumentów: planu wnętrza domu, naszkicowanego przez Zukowskiego oraz umowy o najem domu, zawartej przez poetę z rodziną Wołkońskich. Dokładniejszy wgląd w umowę i jej konfrontacja z biografią poety pozwala stwierdzić, że koszty utrzymania domu i licznej rodziny były dla Puszkina poważnym obciążeniem i powodowały konieczność ustawicznej, wyczerpującej pracy.

Są tutaj również fotokopie notatek, brulionów i autografów Piotra I i Jeźdźca miedzianego. Nie ma chyba przybysza, który bez wzruszenia pochyliliby się nad autografem jednego z największych i najbardziej znanych puszkiniowskich wierszy, jakim jest Pomnik.

W obszernym pokoju stołowym, którego okna wychodzą na ulicę, zgromadzono materiały, dotyczące działalności Puszkina jako redaktora i wydawcy Souriemiennika. Wśród eksponatów zwraca uwagę i rocznik tegoż pisma, fotokopie notatek i uwag Puszkina, związanych z pracą redakcyjną, podobizny Kółcowa, Zukowskiego, Wiazemskiego, Tiutczewa, Odojewskiego — znanych poetów i pisarzy, którzy współpracowali z Souriemiennikiem.



**GRUPY LITERACKIE**

„TAKIE były spory w one lata...” przypominają sobie ten wiersz „Pana Tadeusza” wszyscy, którzy widzą jawność poezji lat powojennych i zestawiają ją z pełnym sporów (nie zawsze parnasowych) i kierunków dwudziestolecia. Niech wrócą grupy literackie, wołali pełni zapалу reformatorzy. Okazywały się jednak dwie rzeczy: że to nie takie proste i że dostarczyło mi to paradoksu (efektownego jak francuski styl) do felietonu. Bo zważając dziwną rzecz: w kapitalistyczno-indywidualistycznych czasach przy byle piśmie i byle okazji tworzyły się literackie kółka, dziś, gdy do pierwszorzędnej wartości podniesione zostało życie kolektywne, poeci chodzą w pojedynkę. Złotowiec podpowiadałby mi, że i teraz są grupy, starczy tylko zajrzeć do kawiarni uczęszczanych przez literatów. No tak, zostały grupy stolikowe.

Czy to wszystko? Po żmudnych i dociekliwych badaniach okazało się, że nie. Wprawdzie nie ma grup, ale pozostały ich reaktki, poszczególne kierunki — starannie zamaskowane i zakonserwowane.

Wiernym i konsekwentnym heroldem swej poetyki pozostał Przyboś. Przepłynął przez wszystkie burze szczęśliwie i nie chwiał się na fali. Dodało mu to nimbu bohatera i życzliwszej sympatii, mobilizując zaraz do ataku. Nie osiadł na laurach. Jak za dawnych czasów prowadzi dwutorową działalność „agilacyjną”: za pomocą twórczości oraz wypowiedzi teoretycznych. Lekcji pogłądowej udzielił w tomie „Najmniej słów”, w którym znajdujemy trzy działy: utwory, materiały poetyckie i rozprawki. Poza tym współtwórca awangardy natury poezji w sposób zamaskowany, występując jako recenzent. Jeśli poeta przyjmuje sposób widzenia Przybosio-wy, jak Harasymowicz, to dobrze, jeśli natomiast reprezentuje poetykę neosymbolizmu (Sowiński) lub skamandrycką (antologia poetów emigracyjnych z Balińskim i Lechoniem na czele), dostają mu się solidne cięgi. Sposób jest dość prosty, gdyż autor przyjął bezwzględne kryterium wartości (własna poetyka) i wprowadził pojęcie szeleszczącego papieru w odróżnieniu od poezji; obok kryterium bezwzględnego (naprawdę) spotkamy kryterium nowoczesności. Nie więc dziwne, że powstaje i skrzykuje się grupa nowoczesnych. Na czym ma ta nowoczesność polegać, trudno zgadnąć, wszakże empiryczne kryterium każde stwierdzić, że to krytonim Awangardy.

No cóż, kiedy życie publiczne stało się wreszcie jawne, trzeba było wprowadzić konspirację. A może to cicha mobilizacja? Bo i Słonimski powiedział na konferencji nauczycielskiej, że premier winien wydać rozporządzenie przywracające do prawa rytm, rym, myśl i sens. Ten zmetaforyzowany żart coś znaczy.

Może wkrótce nastąpi wielkie starcie. Stare antagonizmy — które omięnęto, zlekceważyło i zdystansowało drugie pokolenie z Czechowiczem i żagarystami na czele, a przetrwała wojna — muszą dobrać do końca. A może wreszcie Słonimski raczej milczy. Przyboś zastęga się, że nie o Skamander chodzi, daje do zrozumienia, że tamte sprawy dla niego nie istnieją. Dziś unika się starć i bezpośrednich wystąpień. Wszystko w obsłonach i kokonach. A jeśli z kokonu cma wyfrunie? Jeden tylko Ożóg ogłosił ponownie credo autentyzmu w końcu roku 1958 w „Życiu Literackim” — (jeśli chcecie to przeczytać), stwierdzając z bohatero-odkrytą przyłbicą, że autentyzm, to jedyny program zbawienia ludzkości i poezji. Biedny Ożóg, odkrył swe zamiary. A gdyby tak inni zrobili to samo? Kupą panowie i hajze na Sopotcie! Może, gdy powstaną jawne programy — skupią się grupy ich obrońców i w efekcie każda z nich będzie zmuszona do większej samokontroli i rozwijania swej poetyki. Nie wstydzicie się, nie jesteście przecież młodzi i nieśmiali.

zzzj.

nym tajemniczą liczbą 44? Trzeba przyznać, że nie było tu próby uznania w nim bohatera zbiorowego — „Judu”.

Przykładów tendencyjności można by przytoczyć więcej. Omówienie utworów w podręczniku „trójcy” nie poszło jeszcze „po linii” postulatów Konferencji Kierowników Sekcji Języka Polskiego szkół ogólnokształcących i zawodowych odbytej w dniach 22.11. — 24.11. 1955 r., domagającej się „wszechstronnego” oświetlenia dzieł i epoki, „odrzućenia wszelkich szablonów i schematów” (patrz *Polonistyka* Nr 6, 1956). Tymczasem bezpieczniej nawet pozwolić na indywidualne błędy interpretacji nauczycieli, błędy, które obejmują tylko pewien zespół uczniów,

niż dopuścić do tego, by całe „roczniki” w Polsce powtarzały te same błędne albo mocno wątpliwe twierdzenia. Stosunek między fragmentami informującymi o życiu pisarzy czy faktach kulturowych a fragmentami zawierającymi interpretację utworów programowych może być różny w zależności od rodzaju i rozmiaru tych utworów. Utwory mniejsze można omówić łącznie z życiorysem, większe epickie czy dramatyczne należy wydzielić (może nawet, jak już mówiłam, w osobne broszurki).

W podziale rozdziałów na podrzdziały należałoby jednak ustalić jakieś wyraźniejsze kryterium. Są tu pewne (Dokończenie na str. 11)

**RYSZARD LISKOWACKI**

**Wierszu, wierszu...**

Łatwiej wam wydłubać krew spod paznokci,  
niż mnie uwierzyć w jesień.

Wierszu mój stygnący, wierszu gorzki,  
dokąd mnie niesiesz?

Nie bałamuć, wierszu, melodią ani rymem  
łatwym,  
nie oszukuj, nie oszukuj nadzieją —  
mówisz: przyjdzie dzień sprawiedliwy, dostadni,  
ludzie się śmieją.

Gdzieśmy to, powiedz, na jakich drogach  
pogubili tę ludzką ufność?  
Wierszu, wierzyłem już w jednego boga,  
teraz daj mi usnąć.

Rozdziel, rozdziel nas świat.  
Ciebie ludziom zostawi, a mnie komu?  
I cóż mi po tej wędrowce trwającej dwadzieścia  
kilka lat,  
kiedy nie mogę znaleźć domu.

Wierszu, wierszu, dokąd to mnie niesiesz,  
w jakie słowa każesz mi znów wierzyć  
wsluchanemu w odchodzącą jesień,  
najłabszemu z twych wiernych żołnierzy.

odnalezieniu wielu sprząłków i przedmiotów, jakie tu się znajdowały i jakich używał właściciel. Puszkina — wedle zgodnego świadectwa wszystkich jego przyjaciół — pokój, służący mu za pracownię, urządził z rozmyslną prostotą i nie chciał w nim mieć żadnych zbyt kłopotliwych drobiazgów, niczego, co by rozpraszało jego uwagę. Kominek, na środku pokoju prosty stół, zarzucony papierami, książkami, przyborami do pisania; ściany o kolorze bladezielonym, takim, jaki miały za życia poety, zastawione są od góry do dołu półkami pełnymi książek. Półki z książkami wtargnęły nawet na środek obszernego pokoju; wzdłuż nich stoi kanapa, na której umarł Puszkina.

Prosty, skromny stół — to był warsztat pracy codziennej Puszkina. Tu, przy nim poeta redagował *Sowremiennika*, tu pracował nad powieścią o *Córcie kapitana*, tu pisywał listy, studiował książki i dokumenty historyczne. Po śmierci poety stół podarowano Wiaziemskiemu, wrócił do domu Puszkina w roku 1936. Na stole — kalendarz brązowy z figurką Araba, ofiarowany Puszkiniowi przez jednego z przyjaciół Naszczokina wraz z żartobliwym listem, w którym ofiarodawca przekazuje poecie „wizerunek Twojego przodka” (aluzja do afrykańskich protoplastów rodu Puszkina). Zachowały się również gęsie pióra, których używał poeta. Na stole leży *Historia Rosji w obrazkach dla dzieci*, z datą wydania w roku 1737, którą poeta czytał na dzień przed pojedynkiem. Obok — egzemplarz trzeci, a zarazem ostatniej, jaka ukazała się za życia poety, edycji *Oniegina* oraz tom *Sowremiennika*. Inne drobiazgi — to rzeźbiony nożyk z kości słoniowej — pamiątka rodzinna. Nożyce w skórzanym futerale. Bilet wizytowy w języku francuskim, mała lampka, dzwonek z brązu, pieczęć, przypadkiem wykryta w r. 1925 w jednym z moskiewskich sklepów, gdzie sprzedaje się używane rzeczy... O rozległości zain-

teresowań Puszkina świadczą — między innymi — notatki i źródła naukowe, dotyczące Kamczatki, o której pisał ostatnie swoje dzieło. Proste krzesło z podnóżkiem, małe biurczko, które można było przysuwać do tapczanu lub półek, okrągły stolik, gotycki zegar — uzupełniają urządzenie pokoju. Zachowała się również laska, z którą Puszkina chadzał na spacer, szablę, jaką otrzymał w podarunku podczas podróży na Kaukaz w roku 1829.

Na szczególną uwagę zasługuje biblioteka Puszkina. Poeta był zamożnym bibliofilem, lubił książki, gromadził je skrzętnie i nie żałował wysiłku ani kosztów na zdobycie szczególnie cennych i poszukiwanych dzieł. Księgozbiór jego obejmował 3560 tomów w 14 językach z różnych dziedzin wiedzy. Znaczna część biblioteki ocalała — i zachowana po dziś dzień, daje świadectwo nie tylko bibliofilskim upodobaniom jej właściciela, lecz stałej pasji do samokształcenia, jaka cechowała poe.

Maska pośmiertna, wykonana przez artystę Mokrickiego, oraz szkice przedstawiające Puszkina na łożu śmierci — pozwalają przybyszowi przenieść się myślą w owe dni lutego sprzed wielu lat, kiedy milczącą ciżbą przesuwali się mieszkańcy Petersburga przed trumną poety, szepcząc modły za jego duszę i zlorzczając mordercy...

Oglądam się raz jeszcze na dom Puszkina, odchodząc w dżdżysty mrok Leningradu, gęsto przetłaczany światłami. I myślę o innym domu leningradzkim, oglądanym z rana: jest to dom przy ulicy dziś nazwanej imieniem Plechanowa — ulicy wąskiej, cichej, spokojnej. Tu, pod numerem 39 — jak głosi wmurowana tablica — mieszkał niegdyś i stąd wędrował na spotkania z Puszkinem Adam Mickiewicz...

**Puszkina**

**WARNENSKA**

Liczne reprezentowane są również eksponaty, ilustrujące pracę Puszkina nad *Historią Pugaczowa* i nad *Córką kapitana*.

Pokój gościnny, który za życia poety nie odgrywał w domu większej roli, po zgonie jego był widownią wruszającej sceny. Przyjaciele Puszkina, oszołomieni i rozpaczeni poniesioną stratą, przenieśli tutaj trumnę z jego ciałem, aby pożegnać się na zawsze z poetą. Lecz natychmiast za pisarzami i artystami, opiekującymi śmierć ukochanego druha, wtargnęła tutaj brutalnie hurma żandarmów...

Obecnie zwiedzenie tego pokoju pozwala przybyszowi zapoznać się za pośrednictwem ikonografii z kręgiem przyjaciół Puszkina, z jego najbliższą rodziną, z ludźmi, których lubił, kochał, z którymi stykał się co dzień.

W pokoju dziecięcym, z którego nie ocalał żaden szczegół umeblowania i który trudno było zrekonstruować w jego dawnej postaci, znajdują się materiały dotyczące śmierelnego pojedynku oraz zgonu poety. Wśród nich zwraca uwagę fotokopia ciekawego dokumentu: warunki pojedynku, ustalone i spisane przez sekundantów.

**GABINET** Puszkina, jego pracownia — to pokój, który ze szczególną siłą przyciąga uwagę i ciekawość zwiedzających; szczęśliwym trafem, ten właśnie pokój mógł być odtworzony w dawnej postaci prawie bez zmian — zarówno dzięki relacjom i wspomnieniom współczesnych poety, jak dzięki



Staruszek usiadł ciężko na lawce, położył obok siebie zwinięty worek i ruchem wielkiego znudzenia opuścił głowę na piersi. Po dobrej chwili uniósł ją, jak gdyby dodało mu siły dobrze już przygrzewające wiosenne słońce. Na przeciwległym krańcu skwerku gruba kobieta w ciasnym palcie z wytartym króliczym kołnierzem rytmicznie naciskała ręczkę dziecinnego wózka, podśpiewując pod nosem: „aaa... aaa... aaa...”. Daleko poza nią widać było niżej położone domy, niewielki odcinek Wisły, a jeszcze dalej — mglisty zarys domów na Pradze.

Ale staruszek nie patrzył w tamtą stronę. Powoli, z wielkim trudem wyciągnął szyję, podobną do szyi oskubanej gęsi, i wlepil bezbarwne, jakby wypłowiałe oczy w najwyższe piętro na pół wypalonego budynku po lewej stronie ulicy, wzdłuż której rozciągał się skwer. Widocznie miśniele starczy szyi były bardzo słabe, gdyż głowa zaczęła mu się trząść i z powrotem opadała na piersi.

Z wysokości czwartego piętra patrzyli na niego obojętnie małe okna gospodarskim sposobem wbudowane w poczynialny od ognia i wyszczerbiony pociskami mur. Obok okien widniała duża wyrwa po pocisku artyleryjskim odsłaniająca w głąbi fragmenty zrujnowanych pokoi. Ściany ich zachowały dotąd ślady różowej i seledynowej barwy. Mieszkanie z dwoma małutkimi oknami wyglądało wskutek tego sąsiedztwa jak gołębnik sztucznie przytwierdzone do ruiny.

Staruszek siedział nieporuszony, z wysiłkiem łapiąc oddech. W płucach rzeziło mu i gwizdało. Bezżebne usta otwierały się od czasu do czasu. Wtedy czynił wrażenie wyjętego z wody karpia, szeroko rozdziawiającego okrągłą paszczę i konwulsyjnie poruszającego skrzelałymi w spazmach duszności.

Niedaleko zaszurały kroki. Starzec spojrzął w tamtą stronę. Snać w jego kierunku, powłócząc prawą nogą, drugi staruszek, dość jeszcze żwawy i rześki; podierał się dobrze już wysłużoną laską wyglansowaną na rękojeści. Ubrany był w starannie polataną palto, pamiętające zapewne dwudzieste lata naszego wieku, kiedy to eleganci panowie ozdabiali swoje „sarkpalia” aksamitnymi kołnierzami. Przed laską zwinął, prawie zatrzymał się, lecz po krótkim wahaniu pokuścił dalej. Niedaleko jednak. Stał się bowiem, odwrócił się i bacznie popatrzył na siedzącego. Trzęsąc się jego ręka, oparta na lasce, znieruchomiała na chwilę. Postąpił parę kroków i znów zatrzymał się.

chyba ukraść, już teraz muszą ukraść”. Mania przez cały czas płakała, a wiesz, że ona nie jest skora do płaczu. Twarda kobieta, twardsza niż to życie.

Kazimierz nerwowo grzebał laską w ziemi. Mateusz zaczął znów:

— Zagłodziliby się na śmierć razem z dziećmi... Nie miałby się w cię ubrać... Eeeech...

— No więc? Jeżeli już jest tak źle, to czyż nie powinni skorzystać z opieki społecznej?

Mateusz zaczął trząść głową przeczącą:

— To nie dla nich... — mruczał — To nie w ich stylu. Są ambitni i przywiązani do tradycji, są wierni obowiązkom dzieci w stosunku do starych rodziców. Sam zresztą tak Manię wychowałem, a Janek jest taki sam jak ona. — Stuknęła dłoń w ławkę — Muszą mieć księżkę, lepszą trumnę, wianek i żalobę... Jutro mają w ukryciu ufarbować coś z ubrania.

— Pomyślał, pomyślał i kończył: — Ma też być krzyż... — No więc co, Mateuszu? — chrząkał przybysz jakoś miękko — No więc co ty możesz na to poradzić, biedaku? — Co mogę poradzić? A no, chwała Bogu, mogę... Sięgnął drgającą ręką w zanadrze, wyjął woreczek płócienny dość pękaty i ciężki.

— Widzisz to?... Wiesz, że miałem sto dwadzieścia złotych renty; odkładałem sobie po złotówce co miesiąc. Mam tyle ile trzeba... — Gdy starzec chował woreczek na piersi, tamten przysunął się bliżej.

— Na jaki cel, Mateuszu, odkładał?

— Na podróż, mój stary.

— Na podróż? — szeptali Kazimierz — Dokąd? — Gdziekolwiek, byle daleko i żeby była rzeka.

— Nie rozumiem. Cóż będziesz robił gdzieś daleko? — Kazimierzowi ogromnie zaczęły trząść się ręce. Nie zauważył, że laska wysunęła mu się z dłoni i miękko upadła na piasek.

— He, he, he — śmiał się Mateusz, a z miny Kazimierza widać było, że jest wstrząśnięty tym skrzypiącym śmiechem, śmiał się bowiem człowiek, który przez cały czas z trudnością wydobywał z siebie głos i któremu przecież wcale nie było do śmiechu.

Mateusz urwał, podyszał, porządził i odpowiedział:

— Co będę robił, Kazimierzu?... Ot, zemrę sobie gdzieś w bramie. Mówiłem ci, że już czas. Czuję to tak dokładnie jak ptak czuje czas odlotu. — Przerwał, lecz zaraz podjął: — Oni przecież nie mogą zapłacić czterech tysięcy. A tak, będą trochę szukać starego ojca, zawiadomią milicję, popłaczą sobie; radio ogłosi,

Właściwie tego rodzaju poetom skłonności teriornoficzne przybierały u Czechowicza rzadko spotykaną postać, którą można by określić jako zoologiczną tragiczność. Drejące zagadnienie śmierci ilustruje sobie poeta na przykładach tragedii zwierząt i w bezwzględnie fatalizmie tego zjawiska odkrywa dla siebie pesymizm religijny. Potrzeba kultu znalazła przepiękny wyraz w lirycznym matriarchalnym, zazwyczaj zrzuconym na tło śpiewnej sielanki. Warto podkreślić niespotykane w tych warunkach skąpstwo poety. Ale nie namawiamy go do inflacji. Czechowicz posiada najbardziej prostą drogę swego rozwoju poetyckiego, co należy dziś do rzadkości. To niemal wyjątek — taka linia, biegnąca bez załamania od chwili startu”.

W ROKU 1935 założyłem Okolicę Poetów. Współpraca z Czechowiczem różnie się układała. Czechowicz szczególnie był czuły na sprawy „prestiżu”, dbał o swoją „suwerenność” poetycką i o „wodzostwo”. Zawsze przestrzegał pozorów, obawiał się, by ktokolwiek nie posądził go o „podporządkowanie” się „obcemu mocarstwu”, o uznanie „protektoratu”. Obawy najmniej uzasadnione, jeżeli chodzi o Okolicę Poetów, która nigdy „imperialistycznych” zamiarów nie miała. Toteż przez cały czas istnienia Okolicy stosunki z Czechowiczem pozostawały w atmosferze przyjaźni. Nie miały jej różnice „ideologiczne”, chociaż Czechowicz starannie — ze zrozumiałych względów — odzywał się od „autentyzmu czernikowskiego”. Niemniej w Okolicy Poetów spotykamy wypowiedzi Czechowicza o zasadniczym znaczeniu, dla zrozumienia poety niezbędne, właściwie jedyne. Wypowiedzi dziś zapomniane lub nie dostrzeżone przez krytyków. Jedynie Jan Śpiewak zwrócił uwagę na jedną z nich, przedrukowując niedawno w *Twórczości* artykuł Czechowicza z zakresu introspekcji poetyckiej *Mój wiersz* (Okolica Poetów 1936, nr 6). Wobec tego przedruku nie będę przypominał wywodów *Mojego wiersza*. Przypuszczam, że z powodu słabego rozpowszechnienia Okolicy Poetów, krytycy i historycy literatury nie dostrzegli, że w numerze 4/5 z 1935 roku umieścił Czechowicz credo poetyckie w postaci listu do mnie, wywołanego zaproszeniem do udziału w ankiecie dyskusyjnej.

Warto przypomnieć tę część listu:

„Szanowny Panie! Uwagi wstępne: czy nie sądzi Pan, że interesująca skądinąd ankieta Pańska nazbyt zaciera swobodę wypowiedzenia się poetów. Oczywiście, sprawę rozwiązuje rubryka „inne uwagi”, ale to nie o to chodzi. Bo sądzę, że przed postawieniem takich kwestii, jakie Pan wysunął, należałoby powziąć coś dla stwierdzenia co poeci myślą o poezji „w ogóle”. Nie wątpię, że dąłoby to bardzo wiele interesującego materiału. Ja sam, zanim omówię poszczególne punkty ankiety, muszę sformułować swoje credo poetyckie. Otóż: źródło sztuki musi być czyste. Czyli nie należy pisać dla określonego doraźnego celu, dla określonej sprawy, dla takiej a takiej przyczyny namacalnej. Sądzę, iż sztuka ma nie tyle charakter poznawczy, ile analogiczny do poznawczego i dlatego w jej sprawach powinna obowiązywać surowa etyka i dyscyplina, jak w rzeczywistej filozofii. Z tego stanowiska rzecz biorąc, tworzyłem poezję stając się przede wszystkim wyobraźnią, jako odpowiedzialnik myślenia. Tylko wyobraźnia może być zasadą szeregującą obrazy, wartości pojęciowe i muzyczne elementów poetyckich: słów, zdań, okresów. I więcej nawet; tylko charakter wyobraźni określa je, tylko on jest problemem selekcji. Wyobraźnia jest tym, czego się nauczyć nie można. Całe szczęście. Skłonność do powtarzania całych zdań i zwrotów po kilku przynajmniej poprzednikach jest plagą obecnego pokolenia poetyckiego, ale o ile strasliwą plagą byłoby na dobitkę naśladowanie cudzej wyobraźni! Na szczęście, powtórzę raz jeszcze — to jest niemożliwe. Poezji w Polsce mało, a fałszywej poezji — legion. Utrzymują się na powierzchni tylko dlatego, że czytelnicy (a i krytycy także, także, owszem), przywykli do pewnych „standartów piękności”. Jeśli ktoś próbuje naśladować charakter wyobraźni np. Wałycka lub Przybosińskiego, czytający od razu wyczuwają żgrzyt, ale gdy tenże osobnik naśladowuje ich chwytów poetyckich, składnię czy frazowanie — uważa się, że wszystko w porządku. I płyną przez rzeczywistość polską tony zadrukowanego papieru, wagony makulatury „ozdobionej” rymami i rytmem...”

Credo poetyckie Czechowicza powstało jako wstęp do odpowiedzi na ankietę.

Pragnąc zgromadzić poważny materiał dyskusyjny i przyczynić się do częściowego wyjaśnienia niektórych zagadnień, redakcja Okolicy Poetów zwróciła się do kilkunastu najczynnijszych poetów starszego i młodszego pokolenia z prośbą o wypowiedzenie się w następujących sprawach:

1. Czy dzisiejszy rozdźwięk między tzw. poezją starą a poezją eksperymentalną („awangarda”) jest zwykłym objawem przemian ewolucyjnych, czy też wyrazem degeneracji jednej lub drugiej strony?
2. Jakie okoliczności mogłyby podnieść poziom współczesnej poezji polskiej?
3. Czy krytyka poetycka odpowiednio spełnia swoje zadania i czego poeta żąda od krytyka?

powiece sływała iza po iza, ale i drugie zaczęło płakać.

— Odpoczął sobie trochę, potem wymamrotał:

— Wiem, że mój czas już nadszedł. To nie będzie potrzebne, na pewno nie będzie potrzebne... A zresztą... Pan Bóg wie wszystko; przebaczyłby, mój stary Kazimierzu.

— Może i przebaczyłby — wyszeptał tamten.

Ciągnik dudnił miarowo, kobieta bez przerwy huśtała dziecko w wózku, przez niebo nieprawdopodobnie szybko przeleciały trzy samoloty odrzutowe, zostawiając za sobą echo ostrego gwizdu. Stary Mateusz wstał, kurczowo czepiając się oparcia ławki.

Kazimierz dźwignął się także. Zadarłszy głowę do góry patrzył za maszynami znikającymi na horyzoncie nieba.

— Odrzutowce — powiedział.

— Tak, tak... odrzutowce — mruczał Mateusz.

# NA ŁAWCE

STEFAN  
WOLSKI

— Cóż to za komedie? — zachrypił nagle. — Byłbym cię nie poznał, Mateuszu. Jak mi Bóg miły, nie poznałbym ciebie. — Wyciągnął palec w stronę siedzącego — ...gdymby nie to twoje płaczące oko. — Zastanowił się i kończył potrząsając palcem — ...i to, że całkiem nie masz brwi.

Po dłuższym milczeniu starzec na lawce odezwał się:

— To bardzo dobrze, Kazimierzu.

Przybysz nazwany Kazimierzem wpatrywał się pilnie w siedzącego.

— Brodę zgoliłeś — mruczał.

Tamten bez słowa uniósł rękę do kapelusza i drgającymi palcami, podobnymi do suchych, szernialych i powykręcanych gałązek, uchylił go na dłuższą chwilę, dając czas na przyjrzenie się swojej świeżo wygolonej czasce.

— I włosy ściałeś — dziwił się Kazimierz. Całą postawą wyrażał najwyższe zdumienie. — I ubrałeś się w jakies okropne lachy — ściszył głos do szeptu. (Trzęsąc się głowa Mateusza z satysfakcją uczyniła znak potwierdzenia).

— Po co ci to? — dopytywał się Kazimierz. Nie otrzymawszy zaś odpowiedzi, przykuścił do ławki i usiadł. Pomacał ręką zawiniątko.

— Worek? — Zagadnięty skinął głową, potem z trudem uniósł ją w kierunku dwóch obojętnych okien pod dachem kamienicy.

— Po co to wszystko, Mateuszu? — nie ustępował przybysz.

— Już na mnie czas... Dla Kazimierza zdanie to musiało być całkowicie zrozumiałe, powiedział bowiem:

— No, dobrze, ale właśnie po takiej toalecie możesz się łatwo zaziębić i... — Nie dokończył, a Mateusz zwrócił się ku niemu i zawiśł wodnistymi oczami na jego twarz. Nie odzywał się długo, potem zaczął mamrotać z przerwanym, w czasie których słychać było tylko jego skrzypiący i świszający oddech i widać było bolesne drganie żółtozielonkawej skóry na gardle.

— Dziś w nocy obliczyli wszystko... Długo liczyli... Wypadło coś koło czterech tysięcy... Już razem z księdzem i z tymi tam na cmentarzu, którym trzeba dać w łapę, żeby nie kazali czekać cały dzień albo i dłużej.

Zamilkł, odpoczął i ciągnął:

— Stąd trzeba wieźć samochodem, bo karawanu nie przepuszczą przez miasto. Karawan będzie dopiero na cmentarzu... Dowiadawali się o wszystko, obliczyli dokładnie; musi kosztować koło czterech tysięcy...

— No więc? — Głos Kazimierza chrząkał bardziej niż zwykle.

— Potem spisałi co mają sprzedać... W poniedziałek Janek ma wziąć w bluzę pożyczkę, a dziś przecież mamy piątek... Potem spisałi, czego nie będą jedli przez cały rok, żeby to pokryć... Miego raz na dwa tygodnie, masła wcale, mleko dla dzieci dwa razy na tydzień... Muszą być przygotowani, bo gdyby tak nagle... to przepadliby... cała rodzina...

Znów zatrzymał się jak instrument, który się zaciął. Milczeli. Mateusz, kładąc na worku rękę suchą jak jesienny liść, szepnął:

— Janek chwycił się za głowę i powiedział: „Muszę

że dnia piątego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego roku wyszedł z domu w godzinach rannych w niewiadomym kierunku osiemdziesięciodziewięcioletni Mateusz Kowalski i dotąd nie wrócił... i że ktokolwiek by...

Zamilkł. Milczeli obaj. Słońce przesunęło się już o dobry kawałek drogi i na staruszków, konspiracyjnie pochylonych ku sobie, padł cień pobliskiego kasztana, suchego i pokręconego w nagich gałęziach.

— To po to przebrałeś się i zgoliłeś brodę i włosy? Po to, żeby ciebie nikt nie poznał?

— Po to. Musieliby przecież płacić, gdyby mnie gdzieś tam rozpoznano. A tak... Będzie to śmierć nieznanego starca w jakimś dalekim mieście.

— Romantyk z ciebie, Mateuszu, mój biedny Mateuszu. Nie darmo byłeś kiedyś profesorem w gimnazjum.

W cichą dotąd uliczkę wdarło się nagle piekielne dudnienie ciągnika. Przejechał obok nich z dużą przypieczą pełną gruzu. Widocznie jednak zatrzymał się gdzieś blisko, bo jednostajne, nieustępliwe dudnienie już bez przerwy rozrywało ciszę.

Kobieta z wózkiem niespokojnie zakręcała się na lawce i z nowym zapalem zaczęła naciskać ręczkę, podśpiewując głośno: „aaa... aaa... aaa...”

— Jaki tam romantyk — machnął ręką starzec. — Rozumiesz chyba, że nigdy by mi to do głowy nie przyszło, gdyby... — Podniósł nieco głos, jakby w wpływie żalu: — Ale przecież trzeba coś zrobić, gdy wszystko wali się na głowę tym, których się... Trzeba się na coś zdobyć... na co człowieka stać...

— Kiedy chciałbyś pojechać? — Głos Kazimierza był coraz miękki i cichszy.

— A no, dziś... zaraz... Wracam właśnie od fryzjera. Już mnie teraz nie mogą zobaczyć.

Po raz trzeci uniósł głowę do okien. Spoglądały na niego całkiem obojętnie, jak tylko obojętnie może patrzeć rzecz martwa na człowieka. Dla starca jednak spojrzenie tych dwóch okien nie było martwe, dla niego stanowiły one granicę między życiem a śmiercią. Śmierć była tutaj... Widoczne w dali kominy fabryczne, wesoło powiewające pióropusznami dymów, były przecież symbolem życia zwycięsko walczącego z ruinami, podobnie jak ów poranek wyładowany słoneczną jasnością. A jednak na przekór temu śmierć była tutaj właśnie, życie zaś było tam: w tych oknach, i za nimi.

Nie odrywając oczu od okien Mateusz szepnął:

— Chciałem tylko jeszcze parę razy spojrzeć tam, gdzie oni zostają, gdzie im tyle miejsca zabierałem, gdzie ich objadałem, ja, taki żywy zewłok. — Mamrotał coś dalej pod nosem, ale nie można już było tego zrozumieć. Głowa jego trzęsła się na dobre.

— Mateuszu, Mateuszu — chrząkał cichutko, prawie miłośnię, jego towarzyszy: — A jeżeli nie zemsz od razu?

— To mam tu worek, a w worku sznur — równie cicho rzeził staruszek. — Wystarczy parę kamieni, a potem... Tam, dokąd pojadę, będzie rzeka.

— Mateuszu, bój się Boga co ty? Zrobiłbyś to naprawdę? A Pan Bóg?

Mateusz trząsał się całym sobą. Jego patykowate nogi podrygiwały śmieśczo, usta miał w pół otwarte z lewego oka o wywróconej i przekrwionej dolnej



4. Które z utworów poetyckich (nie tomów) z lat ostatnich mogą być uważane za wyraz niezależności od starszych i nowych doktryn poetyckich?

5. Inne uwagi.

Poważniejsze następstwa miała wypowiedź Czechowicza o krytyce. Przytaczam ją:

„Krytykę polską oskarżam, oskarżam oskarżam... Od krytyków należy wymagać bezstronności, odczuwania poezji (tego chyba brak im najwięcej), wreszcie szerokiego światopoglądu filozoficznego, opartego na studiach, nie zaś na poobiedniej lekturze popularyzatorskiej w rodzaju przemilęgo skądinąd J. Jeansa. Żądamy analizy, nie kadzidla, towarzyszenia naszym wysiłkom, nie pouczenia nas! Żądamy kryteriów, ale nie sztywnych jak drewno trumny — kryteriów, które

kami, nie cofającymi się przed oskarżeniami o charakterze donosicielskim... To bardzo bolesne...

Jeśli chodzi o moje sprawy, moje przykrości, nie potrzebuję chyba zaznaczać, że nie chodzi o żadne kwestie służbowe czy finansowe. Oskarżono mnie gdzie należy o życie niemoralne, orgie itp., popierając oskarżenie cytatami z poematu „Hildir Baldur i Czas”. Czy to nie cudowny pomysł? Jaka szkoda, że na podstawie wiersza o bohaterstwie w lodzi podwodnej nie przedstawiono mnie do krzyża Virtuti Militari!

Środowisko literackie w Warszawie jest nieocenione! Małuczko a Boy i Krzywiczka zasłyszawszy o moich krzywdach moralnych wezmą mnie publicznie w obronę! Tego tylko brakowało!

Kochany Panie, piszę tak chaotycznie i namiętnie, bo jestem w równej mierze rozgoryczony, co i po prostu!

## Ze wspomnień o Józefie Czechowiczu

dawałyby coś żywego w zestawieniu z twórcami poetyckimi. Żądamy także uczciwości handlowej — jeżeli entuzjastyczna recenzja z tomu popełnionego przez ważnego współpracownika jakiegoś tygodnika literackiego jest w następstwie zapłacona posadą stałego recenzenta w tymże tygodniku, to dlaczego ma o tym wiedzieć tylko 10 osób? Interes jest interesem. Kto będzie chciał czytać interesowne recenzje, weźmie do ręki produkty owego recenzenta. A będzie chciał czytać recenzje interesujące, weźmie się do lektury innych pism literackich. To takie proste!”

Druga część tej wypowiedzi — o interesowności krytyków — wywołała burzę. Poczuli się dotknięci K. W. Zawodziński, który wtedy właśnie był recenzentem *Wiadomości Literackich*. Oczywiście zarzut był niesłuszny. Między awangardą a Zawodzińskim toczyła się burzliwa kampania. Obie strony wielokrotnie korzystały z tzw. niedozwolonych chwytów. *Casus Czechowicza* należał do tej serii. Mimo bezimienności zarzutu świat literacki wiedział, że był to strzał przeciw Zawodzińskiemu. Ponośliłem część odpowiedzialności za wypowiedź Czechowicza jako redaktor czasopisma.

Zawodziński przygotował „krwawy” odwet. W *Wiadomościach Literackich* (1935, nr 50) ogłosił ogromną „kobyłę” pt. *Genus irritabile vatum*, w której „zmieszkał z ziemią” Czechowicza i mnie. Czechowicz przeprosił mnie w listach prywatnych, przyjmując winę na siebie. Niemniej ta sprawa wywołała krótkotrwałe oziębienie stosunków między nami.

Wkrótce jednak, przystępując do organizowania wypowiedzi introspekcyjnych pt. *Jak powstaje wiersz*, zwróciłem się znów do Czechowicza. Otrzymałem wartościowy artykuł *Mój wiersz* (*Okolica Poetów*, 1936, nr 6), poprzedzony obszernym listem (bez daty, którą bez trudu ustaliam na maj 1936 r.).

List ten uważam za najcenniejszą pamiątkę po Czechowiczu. Wiele w nim spraw, ale wyróżnia się nurt zwierzeń poufnych, sądzę, bardzo ważnych dla charakterystyki poety.

Przytaczam ten list prawie w całości:

Drogi Panie!

Bardzo się cieszę ze znaku życia, jaki Pan nareszcie dał. I dziękuję za zaufanie. Naturalnie, w najbliższych dniach nadeślę Panu nie tylko artykuł o tym, jak powstaje mój wiersz, ale nieco obszerniejszy o powstawaniu wierszy w ogóle, bo interesowałem się tym procesem i nawet wśród gromadki przyjaciele piszących przeprowadzałem kilka lat temu ankietę.

Ankieta była ułożona wspólnie z redaktorką „Ruchu Pedagogicznego”, p. H. Hetmanową, bo chodziło mi bardzo o ścisłość psychologiczną. Sądzę, że będzie to artykuł interesujący. Nie dziwię się, że ubodła Pana notatka Henryka. Mimo przyjaźni dla tego przemilęgo skądinąd plotkarza i kłapacza, nie mogę twierdzić, jakoby była mądra albo dowcipna. Ale, niech się Pan pocieszy, bywają gorsze rzeczy w życiu.

Teraz trochę o sobie: jestem w rodzinnym mieście Lublinie i liżę rany. Urlop mam aż do wakacji. W czasie Świąt Wielkanocnych zachorowała mi Matka. Chorowała kilka tygodni i zmarła w okropnych cierpieniach. Rak. Byłem przy niej cały czas i myślę, że zdaje Pan sobie sprawę, co dla człowieka wrażliwego, nerwowego znaczą takie tygodnie przy łożu umierającej. Myślę, że byłaby to rzecz bardzo ciężka patrzeć bezradnie na cierpienia zupełnie obcego człowieka, a cóż dopiero Matki. I to właśnie mojej dobrej, słonecznej, zawsze poświęcającej się Matki!

Kochany Panie. Na tym nie koniec. Równocześnie umarł mi w Wilnie serdeczny przyjaciel (prywatny, nie literacki). Równocześnie fałszywi przyjaciele w Warszawie wyzyskali moją długą nieobecność, aby wykopać po mnie dolki i usunąć mnie od pracy w Związku. Nie udało im się to, bo jednak Związek cenil sobie moją pracę, inteligencję i inicjatywę, ale ile przeżyłem przykrych chwil, jakie ponure plotki rozszły się po Warszawie — może Pan sobie wyobrazić.

Miesięcznik (proszę oczywiście o dyskrecję) w związku z tymi sprawami przestaje wychodzić. Zostają tylko przy „Płomyczku”. Nawet ostatni numer podwójny Miesięcznika nie ja redaguję, tak że nie mogłem wbrew chęci obletnieć spełnić i zamieścić tam artykułu o *Okolicy Poetów*.

Raz jeszcze proszę o dyskrecję. Piszę to, aby się wytłumaczyć przed Panem z niedotrzymania obietnicy, ale właściwie, ze względu na taktykę Zw. powinienem był nawet do Pana o tym nie pisać.

Korzystając z tego, że numery „Płomyczka” do końca roku szkolnego przygotowałem, a Miesięcznik robi za mnie kto inny, wzięłem urlop i siedzę z dala od potwornego środowiska warszawskiego.

Jest mi bardzo ciężko na duszy. Nie wątpię, że Pan rozumie mój stan. Najciężej dotknęło mnie, poza śmiercią Matki to, że ludzie, których traktowałem jak szczyrych „przyjaciół”, okazali się dwulicowymi obłudni-

wściekły na tępotę i głupotę i złą wolę ludzką. Ten zbieg smutnych i ciężkich przypadków w jednym czasie, mógłby rozstroić nawet bardzo gruboskórnego człowieka, nie tylko poetę Ilrycznego.

Przepraszam, że się tak rozpląsałem w sprawach prywatnych. Proszę o dyskrecję i — jeśli Pan może — kilka ciepłych słów.

Serdeczny uścisk dłoni  
ostatniego ze swego rodu  
(tak, teraz już jestem ostatni  
i bezpotomny)  
Józef Czechowicz

U PLYNAŁ rok. Tymczasem Czechowicz został sekretarzem redakcji *Pionu*. Z tym *Pionem* miałem różne kłopoty. Jak to zwykle bywa, jedno pismo daje przykrości drugiemu. *Pion* prowokował, *Okolica Poetów* nie zostawała dłużna. Wejście Czechowicza do redakcji *Pionu* nie zmieniło sytuacji. W tym czasie Włodzimierz Pietrzak ogłosił w *Pionie* esej o autentyzmie pt. *Próba teorii*. Nie zgadzając się z wielu jego tezami przystąpiłem do polemiki. Niestety, William Horzyca, ówczesny redaktor naczelny *Pionu* przeciwny był tej polemice i odwlekał umieszczenie mojego artykułu. Czechowicz niewiele mógł pomóc. Zniecierpliwiony, nie czekając na „jaskę” Horzyca, przemieściłem odpowiedź Pietrzakowi do *Okolicy Poetów* z ostrym atakiem na *Pion*. Powstał stan wojny między *Okolicą a Pionem*, który nie zmienił osobistych stosunków między Czechowiczem a mną, ale utrudniał naszą współpracę.

Doskonałym świadectwem tego stanu rzeczy jest list Czechowicza z datą 20 kwietnia 1937. Podobnie jak poprzedni, i ten list jest „o wszystkim po trochu”. Sądzę, że te miscellanea podnoszą jego wartość.

Oto tekst listu:

Drogi Panie!

Dlaczego Pan jest taki niecierpliwy, taki prędko, tak w gorącej wodzie kąpany? Ledwo minęło 3 miesiące od od czasu, jak Pan powierzył „Autentyzm odczerniony” opiece redakcji *Pionu* i już Pan kropi listami pouczającą o obyczajach prasowych, utrudniając mi różne sprawy z redaktorem Horzycą. Ech, ta porywczność, ta porywczność...

Łaszowski był cierpliwszy i doczekał się, że jego polemika z Pietrzakiem ukaże się na łamach 17 numeru *Pionu* (a Pietrzak był w 51 zeszyt rocznym), no i wszystko w porządku. A z *Okolicą Poetów* co ja teraz zrobić mam? Atakować jej nie chcę, jako Czechowicz, a dobrze o niej pisać nie mogę, jako kombatant Horzyca i człowiek *Pionu*. Pozostaje milczenie. Nie wiem, czy to jest *Okolicy* do czegośkolwiek potrzebne...

Stalo się. Trudno. Gorzej, że rzecz ta, póki jestem w *Pionie*, nie pozwala mi na drukowanie się w *Okolicy*, a właśnie przygotowałem wiersz długi i piękny (sic), który tam akurat zamierzałem posłać. Myślę jednak, że jak mnie z *Pionu* wygrzą, kiedy znowu będę chodził jako bezrobotny po Warszawie, nie odmówi mi Pan druku w swym piśmie.

Prywatnie u mnie nic nowego. Żyję odsunięty od ludzi. Brnę w swoich koncepcjach mitotwórczych coraz głębiej, co stwarza dalsze jeszcze stopnie rozdziału między mną a przyjaciółmi. I tak, skłócony ze światem, gardzący ciężarami jego przepływam przez dni i noce. Ostatnio współpracuję z Michałem Kondrackim. Razem siedzimy nad kantatą pielgrzymią. On nad muzyką, ja nad tekstem. Wydaje mi się, że to będzie jedna z najlepszych moich rzeczy.

Dlaczego Pana nigdy ujrzeć nie można w stolicy? Dlaczego Pan tylko głosem jest, nie obrazem?

Piętak, nasz wspólny wychowanek, ładnie sobie pocyna. Prozę pisze dobrą. Spodziewałem się słabszej jakości. Tymczasem fragmenty, które ogłasza w prasie mają siłę i charakter. W wierszach za to nie umacnia się. Ostatni, ten z *Okolicy*, był lepszy od kilku poprzednich, ale nie należał do majstersztyków.

Piętakowi w głowie się nieco przewraca, bo ja go chwalię za prozę, a Miłosz, który tu siedzi, czekając na paszporty zagraniczne, chwali go (niesłusznie) za wiersze... Osamotnienie, jakie czuję będąc ostatnim ze swojej linii Czechowiczem, powiększył jeszcze fakt, że umarł mi w przewodnią niedzielę towarzyszy dzieciństwa i najserdeczniejszy przyjaciel, Jan Wydra, malarz z Braetwa św. Łukasza. A wydawało mi się, że już nie mam kogo tracić, gdy Matki nie ma...

Ot i zabrnąłem w przywację, urazy głębokie i smutki, które są tylko dla mnie. Czas kończyć list.

Uścisk dłoni  
Józef Czechowicz

Pozostaje jeszcze jeden list, o mniejszym znaczeniu ogólnym, gdyż dotyczy wyłącznie *Okolicy Poetów*, list bez daty, jak to często zdarzało się Czechowiczowi. Treścią jego epitafium „na zgon” *Okolicy Poetów*. Zastanawia jego ton „kurtuazyjny”, nie spotykany w innych listach Czechowicza.

Drogi Panie!

Otrzymałszy ostatni numer *Okolicy Poetów* postanowiłem napisać do Pana. Przede wszystkim dlatego, że rozumiejąc Pańskie trudności wydawnicze i doceniając znaczenie zamknięcia *Okolicy*, zamiast słów kondolencyjnych pragnę przesłać Panu wyrazy w tonacji majorowej: *Okolicy* już nie ma. Stała się w czasie i przestrzennych wymiarach, nie będziemy już oczekiwali na nowy numer my, poeci. To wszystko prawda, ale kto wie czy nie teraz dopiero zacznie się wertowanie wydawnictwa jako całości, kto wie czy nie teraz dopiero niektóre z rzeczy publikowanych w *Okolicy* jako w periodyku znajdą swój właściwy walor.

*Okolica* jest wkładem do kultury polskiej tego nie zmieni fakt zamknięcia jej, podobnie, jak fakt zamknięcia *Chimery* nie zlikwidował jej wpływu na naszą sprawę kulturalną. Pan sam wie dobrze, iż echa *Chimery* pobrzmiwają do dziś.

Piszę to wszystko nie jako sympatyk Pana Stanisława Czernika, ani też — jako przeciwnik autentyzmu czernikowskiego (do ostatnio wiele się namnożyło autentyzmów). W chwili obecnej jestem czytelnikiem i tylko czytelnikiem *Okolicy Poetów*.

Salut przesyła drogiemu Panu  
Józef Czechowicz

Na tym wyczerpują się główne „archiwalia”. Pomniejsze, jak kartki, adresy, odpisy recenzji, dedykacje na książkach, pomijam. Dziś nie zdaję sobie sprawy, co zaginęło w czasie wojny. Przypuszczam, że los ten dotyczy kilku listów. Zwykle Czechowicz nadysłał do *Okolicy Poetów* wiersze załączone do listów. Na tej podstawie wnioskuję, że zginęło co najmniej pięć listów.

Pisał Czechowicz, że byłem dla niego „tylko słowem, nie obrazem”. I moja wizja Czechowicza wyłącznie ze słów wyrasta. Obraz jej nie zabarwia ani nie ma, ani nie wywołuje skaz w pamięci. Zostało dla mnie „słowo” — jasne, przezroczyste. Bezcielesne, zastępujące człowieka. Będące jego duszą. Cóż więcej?

Stanisław Czernik

### WOJCIECH BIENKO nowa maryla

„Księżycowa poezji niech Was noc pochłania,  
Za wszystko Wam dziękuję, lecz na nic tu płacze,  
Choć z nową Marylą nie będzie spotkania,  
Bo teraz kocham przyszłość, której nie zobaczę”.

(Jan Lechoń)

obojętnie  
pieszczę żyłasty sznur  
na sekundę  
otwieram kurek gazu  
kościany grzechot  
szklanych kapsulek  
w tekturowym pudełku  
rozszerza mi żrenice krętyńskim spokojem

prestidigitator  
podrzucam ze śmiechem  
mętną kulkę kryształu  
życie

i  
patrzę  
wyklętem się już  
wypłynąłem  
ze smoly czasu  
tu  
w czwartym wymiarze  
spotykam ciebie  
przynosząc ci szkaradny upominek  
twoje własne życie

w wypukłości życioprzestrzeni  
mogę uwierzyć  
że galaretowaty płyn  
w wapiennej oprawie  
to oczy twoje  
płonące nieżywą przyszłością  
plamą czarnego ognia

nie powrócę do ludzi  
nie umiem już tego zrobić  
kocham przyszłość  
wrośniętą we mnie  
pajęczymi nitkami diamentu  
grzeję stygnącymi dłońmi  
szczątki  
usidłonego twego śmiechu  
co trzepece w sieci

idą za mną  
są już blisko  
przyszłość się kończy  
a więc  
do zobaczenia  
przyszłooka dziewczyno



# Rozmowa o teatrze lubelskim

Jaworski: Miło mi w imieniu zespołu „Kamień” powitać gości — dyrektora Lorenowicza i naszych recenzentów. Chcemy, by nasza dzisiejsza rozmowa była swobodną wymianą zdań na temat kończącego się sezonu teatralnego i w ogóle lubelskiego teatru. Mamy nadzieję, że rozpoczęta w kameralnym gronie dyskusja o teatrze zaoferuje szersze kręgi. Spodziewamy się także, że to nasze pierwsze spotkanie zapoczątkuje serię rozmów na temat życia kulturalnego Lublina i poszczególnych placówek kulturalnych. Ze przyczyni się do nawiązania bliższych kontaktów między przedstawicielami różnych środowisk twórczych, w dniu dzisiejszym — między ludźmi teatru i ludźmi pióra.

Mam wrażenie, że wobec rozległości problemów związanych z teatrem dobrze będzie ograniczyć się dziś do zagadnień repertuaru, nie poruszając takich spraw, jak inscenizacja, reżyseria czy gra aktorów.

Bechcyc-Rudnicka: Ja osobiście wyobrażam sobie dyskusję trochę inaczej. Mówiąc o teatrze lubelskim nie można go wyabstrahować z sytuacji ogólnej. Sądzę też, że między innymi nie ominie mi takiego tematu jak istota nowoczesności.

Jaworski: Może na początek dyrektor Lorenowicz powie nam kilka słów o dotychczasowej pracy teatru. Jak państwo oceniają miniony sezon i jakie są plany i perspektywy na przyszłość?

Lorenowicz: Co prawda nie byłem przygotowany na tak zasadniczą dyskusję, a niestety nie potrafię, jak żrećni dyplomaci, wytrząść odpowiedzi z rękawa. W każdym razie zaznaczę, że chcąc mówić o teatrze, trzeba znać cały kompleks spraw, zamkniętych zazwyczaj przed publicznością. Mówiąc o obecnej sytuacji teatru lubelskiego musimy cofnąć się do kwietnia ubiegłego roku. W chwili, gdy wszystkie teatry w Polsce przystąpiły do reorganizacji, znaleźliśmy się bez stałego reżysera. Przez szereg miesięcy skazani byliśmy na codzienne improwizowanie, związane z zabieganiem o współpracę reżyserów z zewnątrz. Ostatecznie nie wyszło najgorzej — takie pozycje, jak „Pasożyt”, „Uczeń diabła”, „Ararat” należy zapisać na plus teatru. Niemniej jednak na dłuższą metę nie można tymi metodami kształtować oblicza teatru. Teatr może być dziełem albo jednego człowieka — Schillera, Craiga — albo zespołu ludzi, którzy wiedzą, czego chcą, a chcą tego samego, tworzą naprawdę zespół. W końcu zdobyliśmy dwójkę stałych reżyserów — od września ub. roku panią Straszewską i od stycznia br. — pana Golińskiego. Ale to jeszcze nie oznacza, że mamy zespół o jakim mówiłem. A zarazem spotkała nas pewna niespodzianka ze strony publiczności. Nasze próby unowocześnienia repertuaru zakończyły się niepowodzeniem. Pierwszym nieudanym strzałem była „Ifigenia” Obeya; teatr dyskusyjny w Lublinie nie „chwycił”. Wobec katastrofy kasowej zdecydowaliśmy się na „Ostatni rejs”, w przekonaniu, że ta sztuka powinna zainteresować lubelską widownię. Dojrzelśmy w „Rejsie” pewną metaforę, poprzez dany układ słowny chcieliśmy ukazać problematykę moralną, bliską zarówno wierzącym jak niewierzącym. Znowu fiasko kasowe. W tym stanie rzeczy musieliśmy zrezygnować z dalszych ambitnych pozycji — zamiast „Kalliguli” Camusa wystawiamy „Króla włóczędzów”. Nowoczesny teatr to niełatwa sprawa.

Bielski: Oj, niełatwa, niełatwa...

Bechcyc-Rudnicka: Tu nie wytrzymam i pokłóć się trochę z moim dyrektorem. Właściwie dotychczas nie wystawiliśmy jeszcze żadnej sztuki naprawdę nowoczesnej w sensie faktury. To, że duchy chodzą po scenie jak żywi, nie stanowi jeszcze o nowoczesności... Cała nasza „nowoczesność” ograniczała się na razie do scenografii. Oczywiście, scenografia jest najdogodniejszym punktem wyjścia do poszukiwań „nowoczesności”, ale przecież chodzi o nowoczesne sztuki.

Lorenowicz: Znajdujemy się w impasie, jakby zawieszeli w próżni. Czego od nas chcą? Symptomatyczny jest zalew sensorycznej szmiry, gołe dźwięki w najbardziej oficjalnych pismach, popyt na wszelkie niewybredne rozrywki.

Jaworski: A jak przyjmowano Shawa i Słowackiego?

Lorenowicz: Proszę cyfry. W poprzednich latach „Śluby panińskie” miały około 100 przedstawień z 40.000 widzów, „Dom na Twardej” siedl 60 razy z 20.000 widzów, „Pasożyt” już tylko 48 razy z 13.000 widzów, „Uczeń diabła” — 40 przedstawień i 20.000 widzów, gdy nielepsze przedstawienie „Kandydy” szło swego czasu 60 razy i ściągnęło jednak 30.000 widzów. „Fantazy” — 55 przedstawień przy złej widowni.

Przygotowując nowy sezon musimy wyciągnąć wnioski z obecnej sytuacji. Repertuar, który wychodził zwycięsko w dużych skupiskach kulturalnych w kraju i za granicą, nie trafia do naszego widza. W moim przekonaniu mamy w Lublinie około tysiąca osób, dojrzałych do nowoczesnego repertuaru, a musimy dawać po 60 przedstawień jednej sztuki dla 40.000 ludzi, bo inaczej krach finansowy.

Jaworski: To chyba zbyt pesymizm z tym tysiącem — trzeba dodać drugie tyle snobów teatralnych.

Lorenowicz: I ci nas nie uratują.

Bechcyc-Rudnicka: Chciałabym usłyszeć, w czym państwo upatrujecie powody tego odwrotu widza od teatru?

Lorenowicz: Odwrotu, który zresztą w innych miastach Polski zaczął się jeszcze wcześniej niż w Lublinie!

Bielski: Przyczyny? Powodzenie teatru w „mionym okresie” nie świadczy wcale, że był to teatr znakomity. Przeciwnie — teraz jest lepszy. Ale przedtem kina wiały nudą, a nawet brzydą był poręczany politycznie. Obecnie w kinach program w program — doskonałe filmy, znakomici aktorzy, świetni reżyserzy, „Estrada” swoją drogą dostarcza widowisk rozrywkowych, poza tym kawiarnie, brzydki rock-and-roll... Teatr nie wytrzymuje wolnej konkurencji. Publiczność jest zdemoralizowana, przesycona, wybredza. Przy sztywnych, ustalonych odgórnie normach finan-

W dniu 16 maja z inicjatywy zespołu redakcyjnego „Kamień” odbyła się rozmowa o teatrze lubelskim i jego problemach. Uczestnicy: Maria Bechcyc-Rudnicka, Konrad Bielski, Anna Jakubiszyn, Kazimierz Andrzej Jaworski, Zdzisław Lorenowicz, Anna Markowa, Stefan Sawicki, Irena Sławińska, Stefan Zarębski.

sowych teatr musi iść na kompromis. A swoją drogą nie uważam, aby wszystkie próby unowocześnienia teatru lubelskiego były najszcześniejsze. „Ararat” to dobra komedia i miał powodzenie...

Lorenowicz: Na fali Października...

Sławińska: Pieprzyć, pieprzyć...

Bielski: „Ifigenia” jest nudna.

Jaworski: Ja się nie nudziłem!

Bielski: Nie zgadzam się też z oceną „Rejsu”. Sztuka jest przede wszystkim z gruntu protestancka i choćby dlatego nie przemawia do katolickiej widowni. Poza tym fatalny trzeci akt, pływaczka, jak w szopce: „Mój Herodzie za twe zbytki, idź do piekła, bo ty brzydki!” Gdyby jakieś mocne, czy choćby paradoksalne zakończenie... Pamiętajcie państwo taką sztukę „Seans”, nic nadzwyczajnego, ale przynajmniej zabawne.

Sławińska: Płytkie!

Bechcyc-Rudnicka: Dowcipne, dowcipne!

Bielski: Jeśli już decydujemy się na klęskę finansową, to przynajmniej dla pozycji wielkiego kalibru. Ot, żeby tak którą sztukę Witkacego; niech się schowają najnowocześniejsi...

Bechcyc-Rudnicka: Powtarzam swoje: myślisz jeszcze nie wystawili ani jednej pozycji nowoczesnej: ani Beckett, ani Ionesco, ani Adamov... ani nawet stary Jarry!

Markowa: Wydaje mi się, że obecnie pod pojęcie nowoczesności podkłada się bardzo wiele różnych treści. Stąd pewna relatywność określenia „nowoczesność” i spore zamieszanie w tej dziedzinie.

W tym miejscu wywiązuje się ożywiona wymiana zdań na temat nowoczesności, na szczęście nie ma wśród nas Flaszera, więc nikt nie odbezpiecza rewolweru, ale protokolant ulega ogólnemu feruorowi, nie notuje... i sprawa nowoczesności pozostanie na łamach „Kamień” nadal otwarta.

Markowa: A jeśli chodzi o sztuki takie jak „Ifigenia” czy „Ostatni rejs” — wybór tych właśnie pozycji nie wydaje mi się najtrafniejszy. Mam tu na myśli przede wszystkim „Ifigenię”. Można było chyba wybrać lepszą sztukę tego rodzaju, choćby „Antygonę” Anouilha. „Antygonę” miała duże powodzenie nie tylko w Krakowie, gdzie jest wyrobiona publiczność, ale także w Katowicach.

Bielski: Widziałbym na naszej scenie dwa typy sztuk: prawdziwie intelektualne, awangardowe — z deficytem w kasie, i widowiska inscenizacyjne. Zresztą przyszłość teatru jako takiego widzę dość pesymistycznie.

Sławińska: Nie zgadzałabym się z tym pesymizmem. Ostatnio mieliśmy na KUL gościa z Toronto, redaktora największego polskiego dziennika w Kanadzie. Gdy zapytaliśmy go o teatr w Toronto, padła zdumiewająca odpowiedź: to milionowe miasto nie ma stałego teatru. W Ameryce teatry nie wytrzymują konkurencji kina i telewizji...

Bielski: Dobre i to, że nam na razie nie grozi telewizja!

Sławińska: W moim przekonaniu ten kryzys teatru jest jednak zjawiskiem przejściowym. Bywały już takie okresy, a później teatr znowu odzyskiwał popularność. Sytuacja teatru lubelskiego — i nie tylko lubelskiego — w tej chwili jest rzeczywiście trudna. Wiemy, czego nie chcemy: nie chcemy szmiry, wulgarnej tendencji, naturalizmu. Czy iść na kompromis z gustami publiczności? Trzeba nawiązywać bliższy kontakt z publicznością, a zarazem wychowywać ją. Jedną z dróg takiego nawiązywania kontaktu jest komedia poetycka, która zawsze trafia lepiej niż tragedia czy poważny dramat. Realizuje ona jednak ideę prawdziwego więc poetyckiego teatru, teatru syntetycznego, łączącego słowo z muzyką i tańcem.

Lorenowicz: Właśnie mamy na warsztacie Lope de Vega.

Sławińska: Trzeba starać się przede wszystkim o wychowanie teatralne ludzi, o nawiązanie kontaktu z młodzieżą, zaczynając od gimnazjum. Jest w Lublinie grono osób, które kochają teatr, wiedzą o nim coś nie coś i mogłyby go popularyzować. Tu otwiera się pole dla koła miłośników teatru, które jak dotychczas nie znalazło właściwych środków oddziaływania. Ostatnio miałam konkretny dowód celowości tego rodzaju poczynań. Byłam zaproszona na kurs dla bibliotekarzy. Po obejrzeniu przez nich „Ostatniego rejsu” mieliśmy rodzaj seminarium. Uczestnicy zgodnie stwierdzili, że dopiero po takim omówieniu sztuki w pełni ją zrozumieli i mogli ocenić.

Jakubiszyn: Pytanie do dyrektora. Czy nie daloby się stworzyć w Lublinie scenki eksperymentalnej, możliwie najtańszymi środkami, w jakiejś bądź salce, grać w kotarach, ale za to sztuki najbardziej awangardowe. Przy tym zorganizować Teatralny Klub Dyskusyjny, bardzo ekskluzywny, który mógłby się stać ośrodkiem promieniowania kultury teatralnej. Ekskluzywność jest zawsze atrakcją. Ci, którzy nie poszliby na jakąś sztukę do teatru, przez ambicję chcieliby ją oglądać w zamkniętym klubie.

Lorenowicz: Czy pani zdaje sobie sprawę, jak pracują aktorzy? Próby, przedstawienia, praca nad rolą... A gaże nie są wcale wysokie, aktorzy muszą więc jeszcze dorabiać udziałem w ubocznych imprezach.

Sawicki: Na niepowodzenia, wspomniane przez dyrektora Lorenowicza, wpłynęło także nie zawsze najlepsze opracowanie poszczególnych sztuk. W „Gwałtu

co się dzieje” interesująca koncepcja nie została właściwie zrealizowana. W „Ostatnim rejsie” nie wydobyto „mystycznego dreszczyku”, jak się ktoś wyraził, a jak ja uważam — nie wydobyto pełnego sensu i nastroju sztuki, który swego czasu decydował o jej wielkim powodzeniu. Nie jestem zresztą pewien, czy i to by uratowało sztukę wobec dzisiejszej widowni. Jak widziałbym repertuar naszego teatru? Mam wrażenie, że teatr lubelski uległ ogólnej atmosferze, panującej w teatrach polskich, by za wszelką cenę dawać coś nowego, nowoczesnego, „robić ruch”. W naszych warunkach celowe jest wydawać mi się wystawianie klasyków, a przynajmniej nazwisk, które coś mówią przeciętnemu widzowi. Utwory klasyczne zwabilyby niewątpliwie widzów z lubelskiej prowincji.

Jaworski: Zapomniałście o Ibsenie...

Lorenowicz: Nie widzę, co by nam dał Ibsen.

Jaworski: ...ale 50-lecie śmierci Wyspiańskiego chyba uwzględnicie? „Wesele” na pewno miałyby powodzenie.

Lorenowicz: „Wesele”? (wyjmuje nieodstępny dyrektorski notes i odczytuje ewentualną lubelską obsadę „Wesela”, a raczej... luki w tej obsadzie). Tak krawiec kraje, jak materii staje. Zastanawiamy się raczej nad „Sędziami”.

Zarębski: A Słowacki?

Lorenowicz: „Balladynę”, „Mazepę”, „Fantazygo” wystawialiśmy. Myślmy ewentualnie o „Złotej czasce” lub „Zawiszy Czarnym”. „Beatrice Cenci” zrobiła w Częstochowie wyjątkową kłapę. A poza tym znowu trudności z obsadą. Stoimy przed dużymi zmianami w składzie zespołu. Angażujemy nowe sily, a równocześnie nasi aktorzy idą do Krakowa, Wrocławia, Warszawy. To też coś mówi.

Bechcyc-Rudnicka: Repertuar klasyczny trzeba wystawić nowatorsko. Przecież Rittnera, Czechowa można grać całkiem inaczej, niż dotychczas. Można grać i Ostrowskiego, i Zapolską, tylko trzeba z tego zrobić groteskę, doprowadzając pokazane sprawy do absurdu. Trzeba nam odkrywczosci artystycznej, rzecz prosta nie tylko w repertuarze, ale i w inscenizacji. Idąc tą drogą teatr nie miałby na pewno gorszych niepowodzeń finansowych, niż obecnie, a przynajmniej mielibyśmy satysfakcję moralną.

Jaworski: A jak z Szekspirem? Pamiętam doskonałe lubelskie „Poskromienie złośnicy”. A przed wojną teatr wołyński jeździł z „Otellem”.

Zarębski: A Zawiański?

Jaworski: A Szaniawski!

Tu rozmówcy zaczynają się przerzucać nazwiskami dawnymi, nowszymi i najnowszymi, aż wreszcie ktoś rzuca pytanie:

Ktoś: A jakie są właściwie konkretne zamierzenia repertuarowe na najbliższą przyszłość?

Lorenowicz: No więc: już w próbach „Zaproszenie do zamku” Anouilha, potem doskonała tragifarsa współczesna „Nina”, autor — Roussin, „Wędką Feniksany” Lope de Vega, coś Wilde’a, — najprawdopodobniej „Brać marnotrawny”, „Pamiętnik Anny Frank”, Swinarskiego „Złota wieża” (premieria), „Jak wam się podoba” Szekspira, na pewno coś Szaniawskiego, może Cocteau „Maszyna do pisania”...

Bechcyc-Rudnicka: No i „Archipelag Lenora” Salacrou.

Lorenowicz: O ile w ubiegłym roku mieliśmy ciągłą improwizację i sztukowanie gościnnymi występami, teraz jest już dwoje stałych reżyserów, poza tym wraca Modrzewska. Możemy więc znowu dobrze przemyśleć i omówić poszczególne pozycje. Anouilh w robocie, a Modrzewska już studiuje egzemplarz „Feniksany”.

Sawicki: Tak więc wracając do tego, co mówiłem: po pierwsze — sztuki klasyczne, po drugie — najbardziej czytelne z dobrych sztuk współczesnych, po trzecie — sztuki, które nazwałbym „okolicznościowymi” — pozycje związane jakoś z okresem, w którym się je wystawia, więc lżejsze komedie w karnawale lub na wiosnę, czy np. „Pastorka” Schillera w okresie Bożego Narodzenia. Teatr powinien unikać skoków repertuarowych, cechujących miniony sezon. Repertuar powinien być wyrównany, przy czym w naszych — bądź co bądź prowincjonalnych — warunkach, sama koncepcja teatru nie może być zbyt „eksperymentatorska”.

Bechcyc-Rudnicka: Byle tylko nie popaść w schematy „nowoczesności”, bo już takie powstają!

Zarębski: Czy nie byłoby celowe, gdyby teatr lubelski zainteresował się twórczością dramaturgów lubelskich? Precedens z Lutowskim jest wcale zachęcający...

Markowa: O tej sprawie trzeba by mówić na podstawie konkretnych materiałów. Nie można chyba dyskutować apriorycznie, nie mając szeregu tekstów, zaproponowanych teatrowi.

Bechcyc-Rudnicka: Brałiśmy pod uwagę sztukę jednego z kolegów, ale były duże trudności z obsadą...

Sawicki: Z nieco innych zagadnień. Jak przedstawia się obecnie tak zwana organizacja widowni?

Lorenowicz: Leży. To nie to co dawniej, gdy chodzenie do teatru było sui generis obowiązkiem społecznym.

Tu dyr. Lorenowicz sugestywnie opisuje, jak to w niedawnej przeszłości egzekwowano spełnianie tego obowiązku. Protokolant słucha, śmieje się i wspomina o swych aktualnych obowiązkach...

W tej chwili możemy liczyć tylko na aktorów i repertuar.

Bielski: Jeśli uda wam się zrealizować zamierzenia, które pan tu przedstawił — publiczność nie powinna zawieść. Repertuar jest sensowny — zarówno poszczególne pozycje jak całość są całkowicie do obronienia.

Co zgodnie stwierdziwszy oficjalną część dyskusji zakończono.

Protokołowała Anna Jakubiszyn



Folwark leżał w zagłębieniu między wzgórzami hrabstwa Somerset: staromodny, kamienny dom mieszkalny, a wkoło niego stajnie, zagrody i przybudówki. Nad wejściowymi drzwiami widniała data zbudowania go: rok 1673, wyciosana pięknymi cyframi z tej epoki. Dom szary, naznaczony stygmatem tyłu slot i tyłu burz, zdawał się tak samo częścią krajobrazu jak owe drzewa, które otaczały i chroniły folwark. Aleja wspaniałych wiązków, mogąca śmiało stanowić chlubę niejednego pańskiego dworu, prowadziła z gościńca do starannie utrzymanego ogrodu.

Ludzie, którzy w tym domu mieszkali, byli tak samo wytrzymali, krzepcy i prości jak on. Chlubili się jednym tylko, że odkąd dom zbudowano, w nieprzerwanym porządku syn po ojcu rodził się w nim i umierał. Od trzystu lat uprawiali okoliczne pola. George Meadows, gospodarujący tu obecnie, był człowiekiem pięćdziesięcioletnim, a żona jego była o rok czy dwa młodsza od niego. Oboje byli ludźmi pięknymi, roslymi i jeszcze w pełni sił; dzieci ich — dwaj synowie i trzy córki — były również silne i piękne. Nie żyłi żadnych niewczesnych pretensji należących do kategorii „gentlemen — ladies” — wiedzieli, jakie przystoi im miejsce i to miejsce nie tylko im wystarczyło, lecz byli też dumni. Nie widzieli nigdy bardziej zżytych ze sobą członków rodziny. Byli zawsze weseli, ochotni do pracy i uprzejmi. Prawdziwie patriarchalne życie. Miało ono w sobie pełnię, która nadawała mu piękno jasne, jawne i pewne — takie jakie posiada symfonia Beethovena lub obraz Tycjana. Byli szczęśliwi i zasługiwali na to szczęście.

Jednakże panem domu nie był tu George Meadows. „Nieprędko jeszcze dorodnie do tego...” mówiono o tym wsi — wadała nim jego matka. Była to siedemdziesięcioletnia kobieta, wysoka, trzymająca się prosto i z wielką godnością. Choć włosy miała siwe i twarz pooraną zmarszczkami, oczy jej patrzyły zawsze bystro i przenikliwie. Słowa jej miały mocne prawa zarówno w domu jak na folwarku, lecz stara ta kobieta miała poczucie humoru i rzadząc despotycznie umiała despotyzmowi nadać łagodną formę. Ludzie zaśmiewali się z jej dowcipów i powtarzali je jeden drugiemu. Miała doskonałą głowę do interesów, z trudem znalazłby się na tyle kuty spryciarz, który by zdolał okpić ją w jakiejś transakcji. Była co się zowie typem niezwykłym. A poza tym potrafiła łączyć w sobie w wysokim stopniu rozwiniętą życzliwość dla ludzi z wiecznie żywym poczuciem śmieśności.

Pewnego dnia, gdy wracałem do domu, zatrzymała mnie na drodze Mrs. George, żona George'a (jedynie jej teściowa nosiła miano „Mrs. Meadows” — żonę George'a Meadows zwano tylko Mrs. George). Była niezwykle podniecona.

— Niech pan zgadnie, kto dziś do nas przyjechał? — spytała mnie.  
— Stryj George Meadows. Pan wie, ten który był w Chinach.  
— Jak to? Myślałem, że już umarł.  
— Wszyscy tak myśleliśmy.

# Dom rodzinny

W. SOMERSET  
MAUGHAM

Przełożyła  
Julia Rylska

Opowiadano mi historię stryja George'a Meadows ze dwadzieścia razy i zawsze słuchałem jej z zajęciem, miała bowiem posmak starej romantycznej ballady; było czymś dziwnie wzbudzającym spotkać się z taką balladą w codziennym życiu. George Meadows i jego młodszy brat Tom — obaj starali się o rękę Mrs. Meadows w czasach, kiedy zwała się jeszcze Emily Green — to jest z górą pięćdziesiąt lat temu. A kiedy wyszła ostatecznie za Toma, George wyruszył w świat na morze.

Przychodzili o nim wieści z chińskich wybrzeży. Przez dwadzieścia lat przysyłał im od czasu do czasu podarki, a potem w ogóle słuch po nim zaginął. Kiedy Tom Meadows umarł, wdowa napisała o tym do szwagra, lecz nie dostała nigdy odpowiedzi na list i wreszcie rodzina doszła do przekonania, że George Meadows nie żyje.

Dopiero kilka dni temu, ku ogólnemu zdumieniu otrzymano na folwarku list od przełożonej pielęgniarek z przytułku dla marynarzy w Portsmouth.



Z listu tego okazało się, że przez ostatnie dziesięć lat George Meadows, cierpiący na ciężki reumatyzm, był pensjonariuszem owego przytułku, a obecnie, czując, że nie pozycje już długo, pragnął raz jeszcze zobaczyć dom, w którym przyszedł na świat. Albert Meadows, stryjeczny jego wnuk, pojechał po starca Fordem do Portsmouth i tego właśnie popołudnia spodziewano się ich przybycia.

— A co Mrs. Meadows na to? — spytałem

— A no, zna ją pan. Siedzi i uśmiecha się sama do siebie.

Wszystko co powiedziała to było: „George był przystojnym chłopcem, kiedy od nas odszedł, ale brat jego był stateczniejszy”. — I właśnie dlatego

wybrała na męża ojca mego George'a — „ale teraz musiał się już ustatkować” — dodała jeszcze.

Mrs. George zaprosiła mnie, bym zaszedł po południu i zobaczył starego. Z prostotą wieśniaczką, która nigdy w życiu nie zajęła dalej niż do Londynu myślała, że skoro obaj przebywaliśmy kiedyś w Chinach, jest między nami jakaś więź. Oczywiście, że przyjąłem zaproszenie.

Przyszedłszy, zastałem całą rodzinę zgromadzoną w starej kuchni o kamiennym posadzce. Mrs. Meadows siedziała jak zwykle wyprostowana na swoim krześle przy ogniu. Zabawiało mnie, że włożyła dnia tego najpiękniejszą swą czarną jedwabną suknię. Syn jej zaś, synowa i ich dzieci obsiedli duży, kuchenny stół. Po drugiej stronie paleniska rozsiadł się ciężko na krześle stary człowiek. Był bardzo wychudły; skóra wisiała na nim jak stare, o wiele za szerokie ubranie. Twarz była żółta i pomarszczona, brakowało mu prawie wszystkich zębów.

Uściskaliśmy sobie dłonie.

— Cieszę się, że pan tu szczęśliwie zajechał, Mr. Meadows — rzekłem

— Kapitanie Meadows — poprawił mnie.

— Przyszedł tu, do domu, pieszo — odezwał się Albert Meadows. — Kiedy dojechaliśmy do wjazdowej alei, kazał mi zatrzymać wóz i powiedział, że chce iść piechotą.

— A pomyślcie, że nie wstawiałem z łóżka od dwóch lat. Znieśli mnie na rękach i posadzili w aucie. Myślałem, że nigdy już kroku nie zrobię, ale kiedy zobaczyłem wiązki i przypomniałem sobie jak ojciec okładał je mocno kamieniami — poczułem nagle, że mogę przejść przez aleję na własnych nogach. Szedłem nią pięćdziesiąt lat temu, kiedy opuszczałem ten dom na dobre i teraz przyszedłem znowu.

— Powiem ci, że nie było to mądre — rzekła Mrs. Meadows.

— Ale mi to dobrze zrobiło. Czuję się zdrowszy i silniejszy niż czułem się przez ostatnich dziesięć lat. Ja cię jeszcze poprowadzę tą aleją, Emily.

— No—no, nie bądź tak bardzo pewny siebie — odrzekła.

Jak mi się zdaje, nikt z żyjących obecnie pokoleń nie nazywał Mrs. Meadows jej chrzestnym imieniem. Owo „Emily” podziało na mnie jak lekki szok — jak gdyby ten stary człowiek pozwalał sobie na poufałość względem Mrs. Meadows. Ona jednak patrzyła na niego roześmianymi filuternie oczyma, on zaś mówiąc do niej uśmiechał się, szczerząc bezzębne dziąsła.

Dziwnie było patrzeć na tych dwoje starych ludzi, którzy nie widzieli się przez z górą półwiecze i dziwnie było pomyśleć, że przez cały ten czas człowiek ów ją kochał, a ona kochała inne

go. Ciekaw byłam, czy pamiętali jeszcze, co czuli i co mówili do siebie pięćdziesiąt lat temu. Czy nie wydawało mu się dziwnym dzisiaj, że dla tej starej kobiety rzucił niegdyś dom ojców swoich i należał mu prawem dziedzictwo — że przez nią żył lat tyle życia wyznał?

— Czy ożenił się pan kiedy, kapitanie Meadows? — zapytałem.

— Ja — nie — odparł swym roztrzęsionym głosem, uśmiechając się. Za dużo wiem o kobietach, żeby się żenić.

— Tak nam opowiadasz — odrzekła Mrs. Meadows. — Ale żeby tak dowiedzieć się prawdy — nie zdziwiłoby mnie, gdybyś miał w młodości z pół tuzina czarnych żon.

— W Chinach kobiety nie są czarne, Emily. Powinnaś wiedzieć, że są żółte.

— To może dlatego tak pożółkłeś. Kiedyś cię zobaczyła, pomyślałam: „Ależ on chyba ma żółtaczkę”.

— Powiedziałem, że nie ożenię się z inną kobietą tylko z tobą, Emily — i nie ożeniłem się.

Powiedział to bez patosu i bez żalu, ale tak jakby po prostu stwierdzał fakt, tak jakby ktoś oświadczył na przykład: „Powiedziałem, że przejdę dwadzieścia mil i przeszedłem je”. Odczułem jednak odcień zadowolenia w tym jego powiedzeniu.

— No, może byłbyś żalował, gdybyś się był ożenił — rzekła na to Mrs. Meadows.

Porozmawiałem trochę ze starszym kapitanem o Chinach.

— Nie ma jednego portu w Chinach, którego bym nie znał jak własną kieszeń. Wszędzie gdzie okręt mógł zajechać, byłem i ja. Mógłbym pana mieć tu przed sobą przez całe pół roku i jeszcze nie opowiedziałbym panu wszystkiego, co widziałem w życiu.

— Tak, ale jak mi się zdaje, jest jedna rzecz, do której nie doszedłeś, George — rzekła na to Mrs. Meadows, wciąż z tym trochę drwiącym, ale nieprzykrym uśmiechem w spojrzeniu — nie doszedłeś nigdy do majątku.

— O, bo ja nie jestem z tych, którzy potrafią składać pieniądze. Zarobić — i wydać to moja zasada. Jedno tylko mogę powiedzieć na moje bene: gdyby mi danym było przeżyć raz jeszcze życie, jakie miałem, to zgodziłbym się przeżyć je po raz drugi, a niewiele jest ludzi, którzy mogliby to powiedzieć.

Patrzyłem z podziwem i szacunkiem na tego starego człowieka — bezzębnego, schorzałego, bez grosza przy duszy — który zasnął pełni życia. Kiedy odchodząc żegnałem się z nim, prosił, bym przyszedł odwiedzić go nazajutrz. Jeśli interesują się Chinami — mówił — opowie mi o nich wszystko, co chciałbym wiedzieć.

Nazajutrz rano poszedłem zapytać, czy kapitan Meadows miałby ochotę widzieć się ze mną. Kiedy przez wspaniałą aleję wiązków doszedłem do ogrodu, ujrzałem tam Mrs. Meadows zrywającą kwiaty. Przywitałem ją. Wyprostowała się. Trzymała naręcz białych kwiatów. Spojrzałem na dom w głębi i przekonałem się, że stary są w nim spuszczone. Zdziwiło mnie to, bo wiedziałem, że Mrs. Meadows lubiła słońce. „Najemy się do syta ciemności, kiedy nas pogrzebią” — mówiła.

— Jak się miewa kapitan Meadows? — spytałem.

— Całe życie był nieobliczalny — odrzekła. — Kiedy dziś rano Lizzie zaniosła mu do łóżka filiżankę herbaty, zastała trupa.

— Trupa — wykrzyknąłem.

— Tak. Zmarł we śnie. Zrywam właśnie kwiaty, żeby ustroić pokój. Ale cieszę się, że umarł tutaj, w tym starym domu, było to zawsze niestychanie ważne dla Meadowsów.

Poprzedniego wieczoru z wielkim trudem namówił go, żeby poszedł spać. Opowiadał im o wszystkim, co zdarzyło mu się w ciągu długiego życia. Był taki szczęśliwy, że wrócił do domu. Był dumny, że sam bez niczyjej pomocy przeszedł przez aleję wiązków i chełpił się, że pozycje jeszcze ze dwadzieścia lat. Los łaskaw był dla niego: śmierć postawiła kropkę w odpowiednim miejscu.

Mrs. Meadows pochylała głowę wachając trzymane kwiaty.

— No, ale cieszę się, że wrócił. Wyśzłam za Toma Meadows, a George poszedł na morze, ale powiem panu, że potem nie byłam całkiem pewna, czy wybrałam właściwego człowieka...

## Wróc uśmiechniętą młodość

(Dokończenie ze str. 2)

Po bardziej „bojowych” pozostają wspomnienia, prawie legendy. Ten tykał złamane trzonki aluminiowych łyżek i druty, tamci zrobili barykady i okropnie nawymyślali prokuratorowi i sędziemu. Posiedzieli sobie za to dwa miesiące w chełmskim więzieniu. Wrócili bardzo bliźzi z wyciągniętymi gębami, spokojniejsi. No cóż, mury potrafią wyciągnąć...

— Ale najlepszy jest ten nasz majster, jak miał urop, to przywiózł nam nawet wody z morza. Próbowaliśmy, ale taka niedobra, gorzka.

Nauczyciel zawodu (introligator) Wesółowski — ma największy mir u wychowanków. Potrafi z nimi biegać za piłką lub wokół stołu. A co najważniejsze, potrafi wszystkich zjednać swoją bezpośredniością, szczerością, żartami i uśmiechem.

Jest jeszcze w kuchni „szefunia” i drugi „majsterek” w stołarni.

— Zeby tak zabrał chociaż na godzinę z nudnych lekcji. Tu się tylko uczy i uczy...

— Do szroniska można się przyzwyczaić, tylko że się kumple ciągle zmieniają. Był nawet jeden taki, co za dwa dni po zwolnieniu wrócił z domu, bo

tu przecież nieźle się je i śpi na własnym łóżku, ale kierownik powiedział mu, żeby wracał, bo tak trzymać bez skierowania sędziego lub prokuratora nie wolno. Plakał, ale co miał robić? Poszedł. Mówił tylko, że znowu musi coś ukraść, żeby go tu z powrotem przywieźli...

Wracają często, za często wracają chłopcy do schroniska. Nieraz po odsiedzeniu kary w zakładzie poprawczym lub wychowawczym, a nieraz wprost spod opieki kuratora. I tak sprawdza się znane powiedzenie, że przestępca po odbyciu kary wcale nie jest lepszy, lecz tylko ostrożniejszy.

A gdzie wychowanie? Przecież zakłady powinny wychowywać, powinny wzbudzać wstręt do przestępstwa, powinny, powinny...

Postulatów stawia się dużo. — Oczywiście są one bardzo słuszne, ale kto u nas chciałby poświęcić chociażby kilka lat za tysiąc albo i mniej złotych miesięcznie? Działając poświęcając się traci trochę anachronizmem, a w tego typu pracy nie można spokojnie odwalać godzin, trzeba mieć wrodzone zdolności, trzeba dawać z siebie bardzo dużo.

Ktoś znalazł genialny pomysł, by

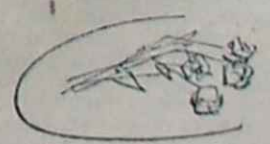
psychologów, prawników i pedagogów z nakazem pakować do zakładów, by tam... odetchnijcie młodzi prawnicy, pedagodzy. Na szczęście nakazy zostały zniszczone.

Czy jest dzisiaj możliwe jakieś realne zahamowanie ciągle rozszerzającego się procesu przestępczości nieletnich? Pałki gumowe ani dyskusje o ostrzejszym czy łagodniejszym traktowaniu wychowanków w schroniskach i zakładach nie rozwiążą problemu. Przypominają one coś w rodzaju plasterka na ropiejącym wrzodzie. Można nakleić go w poprzek, albo wzdłuż, można w kółko, ale wrzód pozostanie wrzodem.

Trzeba chyba sięgnąć głębiej. Znaczenie głębiej, do najważniejszych, a dotąd nie uregulowanych problemów naszego życia.

Dopóki białe będzie raz białe, a raz czerwone lub szare, nie posuniemy się ani o krok. Anarchia w naszej etyce i rozumieniu elementarnych praw — wolności, własności, miłości, sprawiedliwości i wszystkich innych „ości”, którymi krztusi się całe nasze pokolenie — musi wydawać i wydaje swoje owoce.

Józef Wiesław Zięba





## Zaułek

Z niespodzianych bram —  
 zaułek wąski wypełnił nagłe w skrajach — — —  
 Ból prysł —  
 jakby nowe otwarto się światy — — —

Chwilę tę znam —  
 pamiętam — — —  
 W jesiennym smętku z hukiem zleciał liść —  
 wiatry szumiały kantatę — — —  
 Nad dziejów kartą wezbrana popłynęła nuta —  
 i lzy — — —  
 Był skwar w powietrzu i lato —  
 znudzony siadłem przy drodze — — —

Samotna, wąska uliczka i ja, samotny przechodzień — — —  
 Nie wiedziałem, że tutaj — — —

Kamienie dawne jak czas, starte historii podmuchem — — —  
 Zaczął swą mowę pośpieszną gadat liwy chodnik —  
 tupotem buta — — —  
 Słucham — — —  
 Umysł nie chwyta sensu niewymówionych krzyków —  
 melodie —  
 tylko melodie —  
 napelniam duszę muzyką — — —  
 Fałą w skroń bryznął raptowny strumień —  
 mił kolorowych przysnień —  
 ubrany w jawę — — —  
 Nie rozumiem —  
 nie myślę —  
 nawet — — —

Słońce przez lufcik w chmurach —  
 rzucalo — wstrzymane w biegu —  
 czerwieni rażne pęki —  
 na rozigrany trotuar —  
 w twarz mi patrzyło uśmiechem — — —  
 I nawet nie dlatego —  
 wstążką błędnego zaułku uleciałem w błękit — — —

MARKOWA, Zięba, Weremczuk, Stepek, Stefaniak, Księski — te nazwiska spotykają się w tym artykule dość przypadkowo, tak jak przypadkowo spotykają się podróźni w przygodnej obojętnej. Łączy ich to, że nie czekając na książkowy debiut postanowili debiutować przynajmniej na powielaczach. „Niby nie, a znaczy wiele“ — jak śpiewaliśmy w jakimś szlagierze. Pozwala to, przynajmniej w skromnych rozmiarach, ukazać kramik poetycki, najlepsze owoce kilkuletniej pracy.

A więc pożywajmy, co dali młodzi pisarze, chwalmy co dobre, gańmy co złe, choć miejsca na te czynności skąpo.

Z całej szóstki Markowa jest najbardziej zahartowana w bojach poetyckich, gdyż ma za sobą publikację w paxowski almanachu, „Czas bez tytułu“ na to wskazuje. Wiersze Markowej są chyba najrówniejsze i ukazują świat w dość bogatym przekroju od monotonii i nudy codzienności do baśniowych zupełnie wizji.

Między obu biegunami jest miejsce na lirykę o ładunku ideowym, określającym własne pokolenie. Trzeba powiedzieć, że jest to program „na nie“, poza tym przesyt (czy niedosyt?) światem i samotnością.

Trzeba przyznać, że baśniowe, czarodziejskie ujmowanie świata bardziej oplaca się Markowej niż poezja codzienności. Tu wpada czasem w czyścistą prozę („Matka i kwiat“, „Książka dla matki“), choć zanotować trzeba umiejętność dramatyzacji liryki a la Różewicz.

„Bezdroża“ Weremczuka trafnie oddają zawartość toniku. Jest to poszukiwanie wśród bezdroży. Chyba poszukiwanie szczęścia. Weremczuk to jeszcze jeden (spóźniony może?) poeta-romantyk, dusza czuła, liryczna, nie kryjąca się z tym. Nie przypadkowo pi-

sze Weremczuk wiersz o Mickiewiczu. Jego liryka to tęsknota pielgrzyma, wędrowca. Stąd tak częsty motyw drogi zasypywanej przez liście, piasek... I to całe „podszycie“ przyrodą, i to sygnalizowanie uczuć elementami krajobrazu. Ale miłość jest trudna do wyrażenia. Tak łatwo wpaść w utarte koleiny tradycji. Weremczuk w to wpada. Szczerze, bezpośrednio, ale bez własnego piętna. Miłe wiersze do sztambucha „sympatii“.

Podobnie kameralna jest erotyczna liryka Księskiego. Podobnie też, a może bardziej niż wiersze Weremczuka, tkwi w tradycji, niekiedy nie tak dawnej (Galczyński), tylko że nie jest tak dobrze oczyszczona z przypadkowej „waty“. („Matce“, „W Alekajczach“). Księski ma wyraźne trudności z kompozycją utworu. Grozi mu przegadanie (ostatnia część „Szpliaty“), przypadkowe pointy („Jesienne liście kasztana“), skłonności do sentymentalizmu. Obok oryginalnej twórczości znajdujemy przekład „Ballady o 26“ Jesienina. Wrażenie jest dobre, ale nie czuje się powołany do oceny wartości tłumaczenia.

„Stęskniony krokodyl“ J. W. Zięby wprowadza atmosferę egzotyki. Powiedzmy od razu, że egzotyka ta ma znamię sztuczności i papierowości, jest bardzo uboga i konwencjonalna. Twórczość Zięby wyróżnia się dużym poczuciem rytmu i melodyjności, choć nie w sensie „strofkarskiej“ śpiewności. To bardzo wybitne znamię. W parze z tym idzie jednak pokusa łatwizny — woda petycka płynie w tok wyrazistego rytmu. W efekcie metafora zostaje spiętrzona wielokrotnie, traci logikę, zamazuje wyrazistość:

Były nocne zamknięte kotara  
 w zapach tęsknoty rodzących agawy,  
 były słowa skłyszane półcieniem  
 na zwiniętych łodygach mimoz.

Z elementów muzycznych najlepiej wykorzystuje Zięba refren, choć nie zawsze, jak w wierszu „Nie przechodź“. Z tych niebezpieczeństw potrafi Zięba ocalić czasem doskonałą, świeżą obrazowość („Poetom powstania“) i stworzyć rzeczy („Otokarowi Brzezynie“, cykl „Poeci“, „Markowi“), które każą pilnie obserwować dalszą jego drogę. Przy okazji trzeba wyrazić żal, że nie udało się zmieścić w tomiku paru dłuższych poematów.

Najmłodszy z debiutantów — Stefaniak wykazuje naturalną umiejętność poetyckiego myślenia obrazami. Tę umiejętność poświadcza chociażby „Nad morzem“ i „Wielozór bez nazwy“. Ale Stefaniak to jeszcze rekrut, który zaczyna od abecadła, udaje, że umie już dużo i dużo przeżył. Ma oczy smutne — jak przystało na jego 20 lat. Ale też ma nieporadności warsztatowe („Huta“, „Rachunki z ludźmi“), które można leczyć dietą. Recepta: czytać parę dobrych wierszy dziennie, pisać rzadziej (Stefaniak pisze wiele).

Został jeszcze Stepek — jedyny prozaik. „Sciana“ wyraźnie się odcina od pozostałych utworów. W tym zestawieniu widać przeskok od naturalistycznej prawie skrupulatności i dokumentacji ku fantastyce o makabrycznym zabarwieniu, co należy uznać za duże osiągnięcie. Tytułowe opowiadanie „Ręka ze snu“ wyróżnia się lapidarnością i plastyką obrazu. Na drugim miejscu należałoby postawić „Konia na biegunach“, prawdziwie uroczą kołysankę prozą. Ciekawie też „Wnętrze serca“, choć główny pomysł należy uznać za chybiony.

Niestety skradają się już nożyce redaktora, czas kończyć, choć chciałoby się jeszcze szerzej. Nie było nawet czasu na należyłą dokumentację sądów.

Jakiż więc wniosek końcowy? Inicjatywa młodych godna pochwały i kontynuacji. Może już w normalnej książce? Ku temu celowi wyraźnie zmierza Markowa, Stepek i Zięba. Sześć tomików to jakby uzupełnienie do „Almanachu młodych 1955/6“. Znajduje się tam z szóstki tylko Stepek. Sądzę, że i reszta powinna tam się znaleźć i to nie na ostatnich miejscach.

Anna Markowa — Czas bez tytułu. Lublin 1957.  
 Stanisław Weremczuk — Bezdroża. Lublin 1957.  
 Jerzy Księski — Wiersze i przekład „Ballady o 26“ Sergiusza Jesienina. Lublin 1957.  
 Józef Wleśław Zięba — Stęskniony krokodyl. Lublin 1957.  
 Jan Stanisław Stefaniak — Ludzicom. Lublin 1957.  
 Zbigniew Stepek — Ręka ze snu — opowiadania różne. Lublin 1957.

## Spotkania z Ameryką

POLSKI czytelnik, dla którego czołowymi przedstawicielami literatury amerykańskiej byli jeszcze do niedawna Teodor Dreiser i Howard Fast, doznaje nie lada wstrząsu przy lekturze udostępnionych mu wreszcie utworów Steinbecka, Hemingway'a i Caldwell.

Spotkanie z nieznaną Ameryką odbywa się przy każdym z tych autorów odmiennie. Nie zawsze jest to gwałtowny wstrząs, jaki wywołuje w nas niepojętym biologizmem *Poletka Pana Boga*, czy niektórych opowiadań Hemingway'a — czasem uwagę naszą frapuje delikatna, pełna poezji, wizja *Perły* lub *Starego człowieka i morza*. Nie zawsze buntujemy się wewnątrznie przeciwko przedstawionemu nam (jak, chociażby, w *Gronach gniewu*) światu; czasem towarzyszące zazwyczaj przy lekturze pragnienie egzegzy i interpretacji poznawanych zjawisk zostaje usunięte na plan bardzo daleki wobec coraz bardziej wystraszającej się i chłodnej ciekawości czytelniczej. Ale wszystkim wymienionym na początku mojego szkicu utworom towarzyszy niezmiennie najlepsze chyba z wrażeń, jakich może dostarczyć literatura: wrażenie tajemniczej, a pasjonującej podróży w nieznanne.

Cóż jest nieznanego w tej przepuszczonej przez literacki pryzmat Ameryce? Najpierw — ludzie. Są oni we wszystkich wspomnianych utworach niepojętym pierwiotni, a zarazem bardzo cywilizowani, i nawet — kulturalni. Tę pozorną sprzeczność tłumacza łatwo przykłady. Z jednej strony postacie wyrwane z życia Caldwell'a — ludzie o nieokreślonej pasji życia, przeniknięcia go wszystkimi zmysłami, całym swym zwierzęcym jestestwem, realizujący nieświadomie zalecenie nieznanego im króla Ludwika XV: *po mnie — choćby potopi!* Z drugiej strony — bohaterowie Steinbecka i Hemingway'a, postacie heroiczne niemal, zdolne oddać wiele — jeśli nie wszystko — z siebie dla miłości i przyjaźni ku drugiemu człowiekowi, dla wartości moralnych najwyższego rzędu. Rzecz ciekawa, iż mimo bardzo odmiennej specyfiki talentów Caldwell'a, Hemingway'a i Steinbecka, tworzonych przez nich bohaterów łączy coś bardzo zasadniczego, co niweczy od razu w czytelniku podejrzenie, że ma do czynienia z ludźmi zmyślonymi, skonstruowanymi z kilku czy

## ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

kilkunastu nawet rzeczywiście istniejących postaci. Ten rozsadzający niejednokrotnie analizowane książki autentyzm wyciska niezatarte piętno zresztą na całokształcie ich artystycznej faktury, choćby układała się ona — tak, jak w przypadku *Perły* Steinbecka — w poetyckie formy alegorycznej przypowieści.

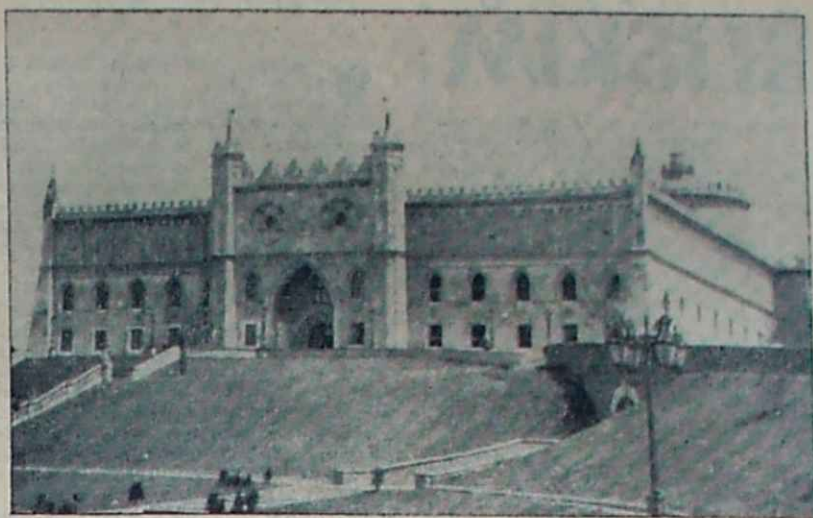
Następnie — świat, rzeczywistość z jej wszystkimi, najmniejszymi nawet realiami. Oszolomieni jego wizją czepiamy się zresztą z początku kurczowo o tych realiów myśląc, że w nich właśnie zawiera się zagadka tajemniczości i obcości tamtego, tak niepodobnego do naszego świata. W istocie jednak szokujące i tajemnicze są dla nas prawa, które rządzą przedstawionymi nam obliczami przez Steinbecka, Caldwell'a, Hemingway'a realiami, elementami Ameryki i każą im się układać w obraz surowy a prawdziwy. Znów mamy tu ochotę przywołać na pomoc przymiotnik „pierwotny“ — tak bardzo elementy tego obrazu pokazywane są bez obłonek, w całej nagości surowego a wstrząsającego tragizmu. Świat Caldwell'a, Steinbecka, Hemingway'a — to świat żywym przeniesiony do literatury z dzieł Karola Darwina, gdzie walka o byt w najbardziej biologicznym rozumieniu wyznacza przesłanki dla czynów i myśli ludzkich, dla procesów społecznych, dla przedsięwzięć i koncepcji technicznych. Wspomniany wyżej tragiczny heroizm, upodabniający często bohaterów amerykańskich pisarzy do najpiękniejszych postaci Conrada, wynika właśnie z przełamania tej wilczej moralności, próbującej zamienić najlepsze intencje i uczucia ludzkie na wartości ekonomiczne. Ale jest i odwrotna strona medalu: caldwellowski Tay-Tay, zarażony i zarażający całe swoje otoczenie niszczącą gorączką złota, czyli pragnieniem gwałtownego wzbogacenia się za każdą cenę, bardziej uplastycznia nam rdzeń konfliktów wyznaczających społeczny obraz Ameryki, aniżeli wywody uczonych socjologów i ekonomistów.

Wreszcie — artystyczny wyraz tej nieznannej Ameryki — jej literatura. Bez modnego dzisiaj zachłystywania się wszystkimi nowinkami literackimi

nadchodzącymi z Zachodu trzeba jednak spokojnie i obiektywnie przyznać, że Steinbeck, Hemingway, Caldwell są rzeczywiście twórcami i kontynuatorami prozy na wskroś nowoczesnej, czyli umiającej wzruszyć i przejąć czytelnika drugiej połowy XX wieku. Jest to proza — wbrew pozorom — mało finezyjna, oszczędnie wygrywająca subtelne, a zaadresowane do wrażliwego intelektu, napomknienia i aluzje. Szczególnie Hemingway i Steinbeck celują w konstrukcji prostej akcji, o czytelnej metaforze i wbiwiających się w wyobraźnię bohaterach. Weźmy jako przykład *Perłę* i *Starego człowieka i morze* — dramat o rodzinie i dramat o przyjaźni, dwóch najpiękniejszych problemach ludzkiego życia. Oba utwory są skonstruowane z maksymalną oszczędnością emocjonalnego wyrazu, który — odpowiednio do wyzuczenia poznawczego i estetycznego czytelnika — mieni się coraz subtelniejszymi barwami podbudowującej go metafory. W ten sposób wkłada się niepostrzeżenie w surowy tok prozy delikatna wibracja poezji, charakterystycznych tylko dla niej skojarzeń, porównań i aluzji. Może właśnie dlatego do każdej ze wspomnianych tutaj książek powraca się kilkakrotnie — i to nie w celu smakowania niektórych, szczególnie celnych obrazów lub cymelów stylistycznych, ale dla skontrolowania i wzbogacenia odczucia całości utworu, nie dającego się uchwytać za jednym razem bogactwa jej problematyki i kształtu artystycznego.

I tutaj spotyka nas największa niespodzianka: stwierdzamy — wbrew początkowym intuicjom — że bardziej tajemniczy i niezny od realiów literackiej wizji Ameryki, sugerowanej nam przez Steinbecka, Hemingway'a i Caldwell'a jest sposób komponowania ich w urzekający swymi perspektywami i barwami obraz. Owo specyficzne połączenie jak najbardziej wiarogodnego autentyzmu z targającym najlepsze uczucia ludzkie tragizmem stanowi właśnie (przynajmniej w moim przekonaniu) kryterium, które oddziela literaturę amerykańską od europejskiej, a jednocześnie łączy jej najlepszych twórców i dzieła nierozważną spójnią. Oby to kryterium zaważyło również na doborze dalszych przekładów, które umożliwią nam następnie pasjonujące i nie tylko literackie spotkania z nieznaną Ameryką!..





## Nowe książki

EDWARD HARTWIG:  
„LUBLIN“

Edwarda Hartwiga znamy jako świetnego fotografa, posiadającego wszystkie tajemnice obiektywu i umiejącego wywołać na kliszy efekty, jakie daje tylko prawdziwa i rzetelna sztuka. Hartwig już niejednokrotnie dowiódł, że jest związany z Lublinem więzami serdecznej miłości i przywiązania. Ale najlepszym wyrazem tego związku jest świeżo wydany przez „Sport i turystykę” album pod nazwą *Lublin*. Album poprzedza wstęp pióra Julii Hartwig, w którym autorka pisze o urodzie starego Lublina, o jego zabytkach, kościołach, domach i gmachach, na których znać piętno historii. „Nie był nigdy Lublin dostojną stolicą Rzeczypospolitej, jak Kraków, nie zrodził się z jednego śmiałego projektu utalentowanego architekta, jak Zamość, a przecież należy do najpiękniejszych miast w naszym kraju” — stwierdza na początku. Dowodem tych słów są kapitalne zdjęcia Edwarda Hartwiga, które są głównym walorem wspomnianego wydawnictwa. Wśród nich spotykamy fotografie, oddające nie tylko piękno architektury starego grodu, ale wydobywające z porysowanych murów, bram, wież i dachów całą poezję zabytkowego miasta, jego czar i wyjątkowy urok. Weźmy choćby dla przykładu zdjęcia Zamku (przez ażurową płataninę kwitnących kasztanów), dostojnej Bramy Krakowskiej, Rynku (pięknie sklepione mury, o tajemniczym oświetleniu), Bramy Trynitarzkiej, doskonalej w swoim pochyleniu, kamieniczek Starego Miasta, pełnych przepięknych, barokowych ozdób, kariatyd i amorków, bajecznych festonów i maszkar. Zdjęcia te są mistrzowskie pod względem technicznym, a jednocześnie tchną urokiem najczystszej poezji, którą E. Hartwig umiał uchwycić na kliszę z talentem i wyciuciem prawdziwego artysty.

ANNA KAMIEŃSKA:  
„POD CHMURAMI“

Niedawno ukazał się w druku nowy tom poezji Anny Kamińskiej pt. *Pod chmurami*. W zbiorze tym zamknęła autorka wiersze, napisane dawniej oraz utwory najświeższe z lat 1950—1956, na których powstanie wpłynęła podróż do Czechosłowacji, wrażenia bułgarskie i włoścęga podczas wakacji po ścieżkach i polanach górskich. Całość dzieł się na cykl: *W górach, Między ludźmi, Z podróży, Wiersze prozą i Wakacje poetyckie*. Daje to poczucie pewnego bogactwa artystycznego, różnorodności treści i ogromnej świeżości. Złwłaszcza wiersze powstałe w Czechosłowacji i w Bułgarii urzekają czytelnika swoją bezpośredniością, szczerością i głębokim, niesfałszowanym liryzmem. Nie mówiąc już o tym, że ich kunszt poetycki jest wręcz zadziwiający. Metafora Kamińskiej nie ma w sobie nic wyświechtanego, banalnego. Jest barwna, obrazowa i nader oryginalna przy swej pozornej prostocie.

Ale na wypracowanie tej formy trzeba było lat pracy. Wystarczy przeczytać dawniejsze wiersze Kamińskiej, zebrane w tomiku *Pod chmurami* i porównać je z takimi, jak *Widok z gór* („góry nad wodą kłęczą, jak praczeki, pełną owieczki, białe robaczki”) *Fotografia ślubna, Dobranoc, Z podróży* („Rzeki pachnące różami, źródła, bijące z granitu, góry kwitnące śniegami, chmury u szczytu”) albo też: *Ląki, Burza w górach, Grób żołnierza w polu, Venus*. Porównanie to wypadnie na ko-

rzyć autorki. Wymienione utwory są już prawdziwymi osiągnięciami artystycznymi. Kamińska z coraz to większym kunsztem zamyka swoją wiedzę o ludziach i przyrodzie w zwartym, skondensowanym kształcie. I coraz przenikliwiej widzi otaczający ją świat. W zbiorze *Pod chmurami* bardzo często odzywają się echa Horacego. Ze Kamińska jest czułą obserwatką życia i że przejmują ją wszystkie krzywdy i problemy, jakimi żyje naród, tego dowodem jest *Strach*, piękny, wzruszający wiersz („strach ma oczy młodego chłopca, który pisze bojowe artykuły”).

Anna Kamińska pochodzi z Lubelszczyzny, z ziemią tą wiąże głęboki sentyment. Dowodem tego jest wiersz, zamieszczony w omawianym zbiorze pt. *Powrót do domu* („szafy i kredensy z Turobina”), a zwłaszcza utwór wydrukowany obok *Epitafium, Krasny-staw me genuit*, pełen uczucia smutku, wywołanego wojną i zniszczeniem.

JANUSZ STRASBURGER:  
„Z HISPZAŃSKIEGO“

Książka pt. *Z hiszpańskiego* odznacza się przede wszystkim wytworną szatą graficzną, co zdarza się dość rzadko na naszym rynku wydawniczym. Tom, odbity na świetnym papierze, zdobią znakomite drzeworyty Marii Hiszpańskiej Neumann. Są to dzieła sztuki, dojrzałe technicznie i pełne poezji. Na uwagę zasługują zwłaszcza miniatury przerywniki, odznaczające się wyjątkowym kunsztem i subtelną precyzją.

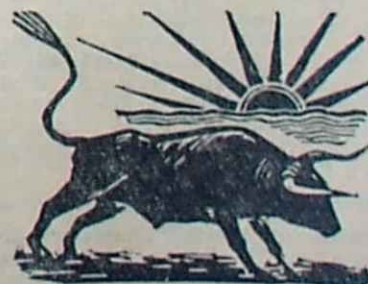
Tom *Z hiszpańskiego* otwiera zwięzły wstęp, wprowadzający czytelnika w poezję półwyspu Iberyjskiego, Meksyku i południowej Ameryki. Cechami tej poezji są: oszczędność słowa, szczególnie epitetu, wstrzemięźliwość w posługiwaniu się obrazem poetyckim, siła nastroju i głęboka uczuciowość. Prostota poezji hiszpańskiej jest równocześnie jej najwyższym urokiem i kunsztem.

Autor antologii dał polskiemu czytelnikowi przegląd najcenniejszych utworów w porządku chronologicznym. Są to wiersze o dużej sile ekspresji, potężnym ładunku uczucia i nieskazitelnej formie.

Trzeba z uznaniem podkreślić wysiłek Janusza Strasburgera, który nie żałował trudu, by zapoznać nas z pięknem i bogactwem poezji hiszpańskiej. Przekłady brzmią czysto, doskonale oddając charakterystyczne cechy twórczości takich autorów, jak Pablo Neruda, Antonio Machado czy wspaniały Garcia Lorca. Wydanie przynosi chlubę „Czytelnikowi”.

Jnk

Edward Hartwig, „Lublin”, *Sport i Turystyka* 1957.  
Anna Kamińska, „Pod chmurami”, *Czytelnik* 1957.  
Janusz Strasburger, „Z hiszpańskiego”, *Czytelnik* 1957.



Przerywnik Marii Hiszpańskiej

(Dokończenie ze str. 5)

niekonsekwencje. Brak nieraz proporcji ilościowej. Np. osobne rozdziałki poświęcone są klasykom: Potocki, Koźmian, Feliński, Osiński — ten tylko w 10 wierszach druku. A zaraz potem pod ogólnym tytułem „Rozwój powieści” omówieni: Księżna Wirtemberska — 13 w., J. U. Niemcewicz — 12 w. i in. Błędnie zatytułowany jest rozdział V — „Poezja romantyczna przed r. 1830”, do której zaliczeni są Malczewski, Gószczyński i Zaleski: w ten sposób bowiem została niejako wyłączona z tego okresu twórczość Mickiewicza, której

Hegla, o którym: „Poważny wkład w rozwój nauki nowoczesnej dał Georg Hegel (1770—1831), którego dialektykę (naukę o zmienności wszystkiego, co istnieje) oczyścił z balastu idealizmu Karol Marks i oparłszy ją o grunt materialistyczny uczynił fundamentem socjalizmu naukowego” (str. 26—27). Co uczeń z tych metafor zrozumie? Może lepiej byłoby tylko wymienić nazwisko Hegla z datami i określeniem — filozof niemiecki — nie dając takiego karkołomnego skrótu?

Jakież wnioski? Podręcznik został napisany przez ludzi obeznanych ze

## Romantyzm w klasie X

poświęcono rozdział poprzedni — IV. To samo dotyczy Fredry i Kraszewskiego, których omówiono w rozdziałach XI i XII a rozdział XIII nosi tytuł: „Literatura w kraju w latach 1831—1863”.

Język podręcznika jest we wszystkich partiach na ogół poprawny i przystępny, zdarzają się jednak potknięcia i zaniedbania wynikiem zapewne z pośpiesznego tempa pracy. Np. monotonne powtarzanie pewnych wyrazów przy wiązaniu fragmentów wykładu: „Innego rodzaju utworem... Innym poe-  
tą jest... Inny charakter miała...” itd. Niezgrabnie brzmi zwrot o pobycie Mickiewicza w Kownie: „dostarczył poe-  
cie wielu bolesnych przeżyć”. Naiwne jest sformułowanie takie: „Pisząc wiersze przestali romantycy liczyć na pal-  
cach sylaby. Kierowali się oni przede wszystkim słuchem”, str. 15. Chyba również zbyt przymiotnikowo brzmi zdanie: „zaprzędany diabeł czarodziej wyko-  
nuje niesamowite sztuki”, str. 12. Mo-  
że to już pedantyczne przyczepki. Go-  
rzej, jeśli składnia zdania jest mętna. Np. „Ideologiczny program romantyz-  
mu ukształtował literacko-artystyczny styl tego prądu”, str. 10. Gdzie jest podmiot, a gdzie dopełnienie?

Skoro są odsyłacze nawet podające wymowę nazwisk cudzoziemskich, to może przydałoby się trochę więcej objaśnień rzeczowych, np. nazwy filonami i filareci, wolnomularstwo narodo-  
dowe, akcenty kabalistyczne itd. Może warto trochę dokładniej wyjaśnić rolę

szkołą i jest niewątpliwym krokiem naprzód w porównaniu z poprzednim K. Wyki, który, jak to wykazał w swej recenzji A. Szczerbowski (*Polonistyka*, 1954, Nr 1), miał jednocześnie ambicje monografii epoki romantyzmu i dlatego okazał się dla celów szkolnych nieprzydatny. Nie został jednak „oczyszczony z balastu” minionego dziesięciolecia. Brak w nim zagadnień z nauki o języku. Brak mu jednolitości metody, co zresztą było zamierzone z góry przez redakcję dla wypróbowania różnych metod. Analizy czy omówienia są często zbyt pobieżne albo jednostronne. Lepszym rozwiązaniem byłoby osobne wydawanie analizy utworów należących do programu. Korzystaliby z nich z pożytkiem nauczyciele i uczniowie pilniejsi dobrowolnie, inni z polecenia, sporadycznie.

Czy recenzja jest celowa wobec tego, że podręcznik jest mało znany i że mogą zajść bardzo poważne zmiany w programie, zwłaszcza wobec projektu przedłużenia nauki do 12 lat, a przecie od programu będzie uzależniony charakter podręcznika?

A jednak dyskusja jest potrzebna. Chodzi nie o autorów, nie o wyrazy uznania lub nagany, ale o wykrystalizowanie postulatów co do możliwie najlepszego podręcznika, który dopomóż młodzieży zdobyć wiedzę o rozwoju naszej literatury, zdobyć należyty pogląd na jej wartość i stanę się książką, do której się zagląda i po skończeniu szkoły.

Wanda Achremowiczowa

JANINA BRZOSTOWSKA

### Któż mi wzbroni

Teofilowi Kowalczykowi

Przyjdzie czas  
gdy przez ogrody wspomnień  
przechodzić będę, słuchając jak wiatr  
jesiennym szumem liści mówi do mnie  
o wielkich celów dniach,  
o latach strat.

Lecz nie pochylę głowy.  
Któż mi wzbroni  
marzenia, z którym rozstać się nie umiem,  
że człowiek przyszłych wieków  
mądry i surowy  
dzisiejszy żal mój wielki i smutek  
zrozumie...

W kwietniu b.r. nakładem „Czytelnika” ukazał się na półkach księgarskich zbiorek Janiny Brzostowskiej, stanowiący przekrój jej pracy poetyckiej pt. „Wiersze”. Zamieszczony przez nas utwór powstał ostatnio i nie wchodzi w skład tej książki.



# Z DALEKA O BLISKIM

**TOWARZYSTWO** im. J.-K. Huysmansa w Paryżu zorganizowało obchód 50-lecia śmierci autora „A rebours” „La-bas”, „En route”. Z okazji tej rocznicy „Le Monde” zamieścił nastrojowy artykuł opisujący oboczenie wytwornego prozaka, jakie poczynił przed pierwszą wojną światową! Uroczystość jubileuszowa była skromna, ale pamiątki po pisarzu są pieczołowicie przechowywane. U nas była odwrotnie — właśnie à rebours (casus pamiątek po Prusie i Zeromskim w Naleczowie).

**LES Nouvelles Littéraires**, w jednym z niedawnych numerów, poświęcając uwagę paryskiej wystawie materiałów literackich i plastycznych ilustrujących dzieje kierunku dadaistycznego, powstałego, jak wiadomo, w Zurychu w czasie pierwszej wojny z inicjatywą Tzara, Huelsenbecka, Arpa i Halla. Wiadomo też, że ruch ten, propagujący zasadę przypadkowego rozgłosu na całym świecie początkowo dzięki ekscentrycznym wybrykom jego promotorów, połączającym snobów, — lecz stał się niebawem punktem wyjściowym surrealizmu i abstrakcjonizmu (v. m. in. materiały zawarte w książce Maurice Nadeau „Histoire du surrealisme”, Paris, Ed. du Seuil, 1945). Równocześnie z wystawą ukazała się nieduża praca pt. „L'Avanture Dada”, która według oceny recenzenta jest nie tyle historią dadaizmu, ile jego „romansem”, co przysparza jej uroku. Autor książeczki, Georges Hugnet, informuje, że niezależnie od antologii zapowiedzianych w Berlinie, Zurychu i Genewie erudyty paryscy przygotowują monografię o dadaizmie. To zainteresowanie ma charakter nie tylko dziejopisarski, — odbywają spory o dzieło dadaistów. Oto więc jeden z zrysków na drodze do nowoczesności.

**W MAJOWYM** numerze paryskiej „Kultury” znajdujemy ciekawą ripostę Gombrowicza na niewłaściwie sformułowaną krytykę pewnego czytelnika: „Literatura, panie Kowalik, jest tyłem sprawą pisaną o czytaniu. Jeśli czytelnik klepski i nierozgarnięty, to i autor będzie zawsze godny nagany — ale nie ten autor, który istnieje w rzeczywistości, tylko ten, którego ma w głowie p. Kowalik”. Cóż, dura... veritas sed veritas — nie tylko w odniesieniu do literatury, bo i do plastyki, do muzyki, do teatru...

**POPULARNY** autor „Klimatów” opublikował w „Nouvelles Littéraires” artykuł „literacki” pt. „Czy małżeństwo prowadzi do arcydzieła? Ponieważ wywołane z zaświatów cienie Hugo, Tolstoja, Flauberta i innych wielkich (nie wyłączając kpiarza Shaw!) świadczą za i przeciw w tej bulwarowej kontrowersji, kwestia pozostaje otwarta!

**CZY** nie powinniśmy pójść za przykładem Francuzów tłumacząc ciekawą książkę o Szekspirze, w której Ruth Holland opowiada, podobno, w sposób bardzo plastyczny o jego młodości, małżeństwie, wyjeździe do Oksfordu, o trudach i pierwszych sukcesach. Należy chyba popularyzować prace usiłujące obalić uknutą w Ameryce sensacyjną plotkę, że „Szekspir nie był Szekspirem”. Tej hydrze raz po raz odrasta jakaś głowa.

**SKORO** już jesteśmy przy mitologii: na jednej z licytacji paryskich sprzedano za 1.900.000 franków egzemplarz Owidiuszowych „Metamorfóz”, ilustrowanych akwafortami Picassa. Wydanie to ukazało się w 1931 r. w liczbie 145 egzemplarzy. Egzemplarz, o którym mowa, jest jednym z pięciu czolowych, wydrukowanych na japońskim papierze. Zawiera on m. in. jeden ważny rysunek oryginalny Picassa. Tematy „Przemian” w przemianach Picassowskich! Gdybyż coś takiego wystawił u nas na Dni Oświaty w drugim oknie wielkiej księgarni od strony Szopena. Ludzie tłoczyliby się przed wystawą. Niepotrzebne byłoby ogłoszenie „Sztandaru”.

**STALYCH** czytelników naszej rubryki „Z daleka o bliskim” zainteresuje na pewno nowa wiadomość o zespoleniu J. - L. Barrault, tym razem pomyślna: zespół ten przestał być bezdomnym, będzie bowiem korzystał z zaproszonej mu gościnności w Teatrze im. Sary Bernhardt. Czy to ma być symbolem czy substytucją? Trudno czasami komentować z daleka...

m.b.-r.

## O czym pisała „Kamena” przed 20 laty

Kwietniowy nr „Kamena” z r. 1937 zawierał krótki esej Grzegorza Timofiejewa „Poeta ze średniowiecznej ekstazy” (w 25-lecie śmierci Antoniego Szandlerowskiego), fragment powieści Stanisława Piętaka „Rzeka była za łakami”, urywek powieści estońskiej Augusta Gallita „Tomasz Nipernaad” w tłumaczeniu Alicji Maciejewskiej, wiersze Włodzimierza Piętaka, Stefana Napierkiego, Olgi Daukszy, Witolda Kasperskiego, Zdzisława Popowskiego, Czesława Janczarskiego, Alicji Iwańskiej, Marcina Seweryna, Antoniego Gronowicza, Zbigniewa Bieńkowskiego, przekłady z poezji włoskiej K. A. Jaworskiego, przekłady z poezji ukraińskiej Tadeusza Hollendra i K. A. Jaworskiego, recenzje, kronikę słowiańską i noty.

# Spotkanie z prawnukiem Mickiewicza

**W** Neuilly-sur-Seine pod Paryżem, na ulicy Louis Philippe mieszkał się uroczy mieszkaniec prawnuka Mickiewicza, Jerzego Goreckiego. Odwiedziliśmy go tam dwa lata temu, któregoś popołudnia. Otoczyła nas od razu atmosfera pamiątek, dziś już włączona do naszych osobistych wspomnień, o których nie możemy bez wzruszenia myśleć. Bo czyż można obojętnie opierać łokcie o stół, przy którym siedział Mickiewicz? Przy tym stole czytał ostatni jego list, pisany do córki na tydzień przed śmiercią, a zaczynający się od słów: „Czuję się bardzo dobrze”. — Wziąć do ręki spinki od jego mankietów, które były w bezpośrednim sąsiedztwie jego pióra, grzebać palcami w szkatulce, pełnej klejnocików rodzinnych i słuchać opowiadań o tradycji życia rodzinnego poety, w których dominującą rolę odgrywa „ukochana babunia”, Maria Mickiewiczówna, późniejsza Gorecka, która po śmierci ojca stała się jedyną opiekunką rodu i zastępuje im matkę.

Jerzy Gorecki jest dziennikarzem i filmowcem. Spędził ostatnio miesiąc w Polsce, nakręcając film o charakterze pejzazowo dokumentarnym. Zarząd polskiego PEN-Clubu poprosił go o wygłoszenie odczytu na temat jego prac i wrażeń z pobytu w Polsce.

W nowej siedzibie PEN, w Pałacu Kultury, 1-go maja prezes Parandowski powitał w serdecznych słowach gościa, nawiązując do wizyty w Neuilly, która w sercu każdego Polaka musi się utrwalić w sposób szczególny. Z kolei Jerzy Gorecki opowiedział dość licznie zebranej publiczności o swoich podróżach, w których dotarł aż do Wilna i Nowogródka, wszędzie witany z ogromną serdecznością i wzruszonym żywym kultem otaczającym Mickiewicza. Spod Wilna, gdzie była niegdyś posiadłość Goreckich, przywiózł trzy sosnki, które ma zamierzać zasadzić na grobach rodzinnych w Montmorency.

Dłuższą uwagę poświęcił filmowi o życiu Mickiewicza i scenariuszowi filmowemu z „Pana Tadeusza”. O ile pierwsza myśl wydaje mi się słuszną, a nawet w pewnym sensie nieodzowną, o tyle film z „Pana Tadeusza” nasuwa pewne wątpliwości, tak jak ów przedwojenny, w którym z niecierpliwością czekało się jedynie na napisy zawierające fragmenty poematu.

Po wygłoszonej prelekcji przy czarnej kawie, jak to jest w zwyczaju Polskiego PEN-Clubu, toczyła się swobodna rozmowa, zadawano pytania, dyskutowano. Gorecki m. in. wspominał o swej podróży szlakiem Szopena na Majorce, podkreślając w ten sposób zainteresowania związane z epoką Mickiewicza. (W domu u niego znajduje się stoliczek, przy którym po-



Jerzy Gorecki w rozmowie z Moniką Zeromską i Marią Kornilowicz, wnuczką Sienkiewicza (fot. M. Wrocławski)

dobno Mickiewicz grał w szachy z Szopenem).

Na sali byli kuzyni z linii stryjecznej, Adamowie Mickiewiczowie, państwo Czerniakowscy, spokrewnieni z Mickiewiczem przez Szymanowskich. Gorecki wręczył im kwiaty ofiarowane mu przez uczelnia liceum im. Mickiewicza; pocałował się z panną Kornilowiczówną, wnuczką Sienkiewicza. Gorecki ma zamiar powrócić jeszcze do

Polski w czerwcu, żeby uzupełnić zdjęcia filmowe, których obecnie z powodu złej pogody nie udało mu się zrealizować. Z tej podróży wywozi wzruszające wspomnienia, szczególnie o tych wszystkich ludziach, którzy, z miłości do Mickiewicza, starali się do niego dotrzeć, choćby na jeden moment, żeby mu rękę uściśnić.

Irena Parandowska

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. P.

Jerzy Jan, we Wrocławiu. Zatrzymujemy do ewentualnego wykorzystania „Ludzi XX wieku”. Ale wydrukowalibyśmy nieprędko.

Rysz D. w Łodzi. Może zamieścimy „Wstydlwego” i „Kulisy małżeńskie”. Na razie brak miejsca.

H. Szyk w Zielonej Górze. Wiersz „Oblakana” — ciekawy. W najbliższych numerach „Kamena” bardzo ciekawo.

Med. Szol. w Toruniu. Debutu zablockowane na kilka miesięcy. Z wierszy stosunkowo najlepsza „Troška o miłość”. Nie trzeba się śpieszyć: za pół roku powinien Pan napisać coś lepszego.

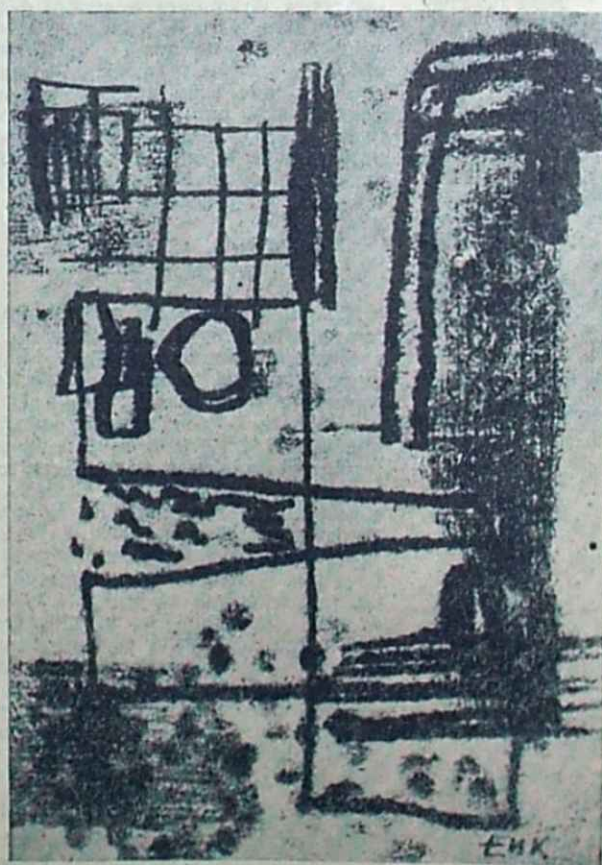
Jan Lech, w Mazłach. Po co się wysilać na oryginalność, wprowadzając niezrozumiałe ekstrawagancje? Najlepsze: „Nasza droga”, „Wiosna w ogrodzie” i druga część „W pokoju”. Ale jeszcze nie dla nas.

Uran w Rudziancu Gliwickim. Wiersze beznadziejne. Dlatego redakcja pism nie odpowiadała.

W. Kul. w Mielcu. Ostatnie wiersze świadczą o postępie. Gdy będzie luźniej, może zamieścimy „Nutę wieczoru”.

Redakcja prosi debiutantów o wstrzymanie się z przysyłaniem wierszy na przeciąg 3 miesięcy.

## Z lubelskich wystaw



W maju czynna była w MDK na Zamku wystawa grafiki Jarosława Łukawskiego. Na zdjęciu: monotypia J. Łukawskiego

WITOLD GAWDZIK

## Sen satyryka

Satyrykowi się przyśniło,  
Ze świat nareszcie stał się lepszy.  
Wokoło kwitnie bliźnich miłość,  
Brak ludzi-mał i ludzi-wieprzy.

Więc uśmiech wszedł mu na oblicze,  
Ze znikło niby koszmar gdzieś  
To, co tak smagał satyr biczem;  
Ze wszystko jest, jak on — mistrz — wieścił.

Lecz nagle... czy się zmienił obraz?  
Nie! to jedynie fizys mistrza:  
Jak gdyby elektryczna iskra  
Mózg mu przeszła myśl niedobra:

„Świat naprawiony? Wieść hiobowa!  
O biedna żono, biedne dzieci;  
Gdy nic nie trzeba krytykować,  
To w kieszeń także nic nie wleci!”

Na łożku biedny mistrz aż usiadł  
I nadal śniąc — tak rzekł: „A zatem  
Rozwieść się z piórem będę musiał,  
By wziąć, ach, może... za łopatę?”

Tutaj na szczęście się obudził  
(Sprawiło to chrapanie żony);  
I był ze złego świata, z ludzi,  
Jedyny raz — zadowolony.

Rysunki w numerze: Tytus Dzieduszycki